
Genowefa Furman – niezwykła mieszkanka dawnego Pnikuta.

Nie myślałam nigdy o tym, że zechce nawiązać ze mną kontakt najbliższa rodzina znanej i zasłużonej mieszkanki dawnego Pnikuta - pani Genowefy Furman, której wyjątkowa osobowość i postawa życiowa zafascynowały mnie od momentu, kiedy miałam okazję ją poznać. To był wprawdzie tylko jeden jedyny raz, gdy osobiście spotkałam się z panią Gienią i byłam gościem w jej domu w Pnikucie, o czym napisałam w swoich wspomnieniach o znanych mi pnikuczanach, które są zamieszczone na stronie pnikut.net /Mieszkańcy/Stefania Kremska-Skrabka/.

Kiedy otrzymałam od rodziny pani Gieni tj. od Państwa Bacza (córki, zięcia i wnuczki) zeskanowane 125 stron ze starego zeszytu, zapisanych odręcznym pismem na pożółkłych kartkach w kratkę i zawierających osobiste notatki pani Gieni, to nie mogłam oderwać się od czytania jej rękopisu. Ze wzruszeniem przypominało mi się bowiem wiele wydarzeń z Pnikuta, o których wcześniej słyszałam bezpośrednio od pani Gieni i od cioci Rozalii Dorosz w czasie mojej pamiętnej wizyty z mamą w domu Furmanów. Już wtedy miałam świadomość, że dane jest mi poznać kogoś wyjątkowego. Jej notatnik, jest dziś bezcennym dokumentem historycznym i prawdziwą kroniką Pnikuta tamtych okrutnych lat, pisaną przez uczestnika i naocznego świadka wydarzeń. Jej bardzo ryzykowny, w tamtych czasach, pomysł zapisania tego, co się wtedy w Pnikucie działo, można dziś odczytać, jako natchnienie dane jej od Boga, by przekazać to potomnym. Zapiski pani Gieni, fragmentami może chaotyczne, oddają przerażającą atmosferę tamtych lat i świadczą mogą o tym, że nie jest to pamiętnik - relacja pisana dzień po dniu na bieżąco, lecz odtworzone z pamięci i utrwalone na piśmie wydarzenia na zasadzie wspomnień.

Z treści tych wspomnień jawi się nam niezwykła postać ich autorki - Genowefy Furman, jako osoby głęboko wierzącej, wręcz "świętej", mającej bezgraniczne zaufanie do Boga i w Nim pokładającej nadzieję. Postać kobiety bohaterskiej, gorącej patriotki, mającej swoją godność i dumę narodową, która nieustraszenie walczy o polskość, o swój kościół i o wolność wyznania. W okresie zakazu praktyk religijnych i braku kapłana w pnikuckiej parafii, ona nie będąc z wykształcenia nauczycielem religii, przez ponad 40 lat w pełnej

konspiracji, ryzykując własnym życiem i życiem swojej rodziny, uczy i przygotowuje pnikuckie dzieci do Pierwszej spowiedzi i Komunii św. Potajemnie prowadzi je do wiary katolickiej i do Kościoła, formuje ich sumienia. Jest całkowicie oddana i wierna swojej Misji powierzonej jej przez ks. Jerzego Ablewicza, późniejszego Arcybiskupa Tarnowa. Misję tę może wypełnić do końca, dzięki wsparciu i zrozumieniu jej niebezpiecznych i ryzykownych działań ze strony męża Jana – człowieka również bardzo religijnego, szlachetnego, wielkiego patriotę, którego autorka bardzo życzliwie wspomina. Jawi się postać kobiety bardzo wrażliwej na ludzką krzywdę, okrucieństwo, na upodlenie człowieka przez człowieka, która nie może pogodzić się z tym że to, jak powiedziała Zofia Nałkowska w „Medalionach”: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”. Postać pani Gieni powinna być znana i bliska nie tylko dawnym, ale i dzisiejszym mieszkańcom Pnikuta, a chyba tak nie jest ...

Genowefa Furman była rodowitą pnikuczanką – urodziła się 23 lutego 1923 r. w Pnikucie i tu spędziła całe swoje życie. To był jej ukochany Pnikut. Będąc już w podeszłym wieku zachorowała na raka i została wręcz na siłę zabrana przez córkę Janinę do Przemyśla, by jeszcze tam spróbować leczenia, ale było już za późno. Zmarła w Przemyślu 14 marca 1999 r. w domu swojej córki Janiny. Zgodnie z wolą zmarłej, jej ciało zostało przewiezione do Pnikuta, gdzie przez 3 dni parafianie modlili się przy jej trumnie i żegnali swoją zasłużoną pnikuczankę. Mszy św. pogrzebowej przewodniczył ks. Jan Buras, a w koncelebrze uczestniczyło 6 księży m.in. ks. Legowicz i obecny proboszcz Parafii św. Mikołaja, którzy znali zmarłą. Na pogrzeb licznie przybyli nie tylko wdzięczni pnikuczanie, ale także wielu mieszkańców z okolicy, bo była to osoba znana nie tylko w Pnikucie.

Mąż Genowefy - Jan Furman – urodzony 17 kwietnia 1930 r. w Pnikucie, zmarł 10 kwietnia 1996 r. w Pnikucie. Genowefa i Jan Furmanowie spoczywają obok siebie na pnikuckim cmentarzu.

Dzieci Genowefy i Jana Furmanów wraz ze swoimi rodzinami mieszkają na stałe w Polsce (Przemyśl, Kraków), wnuczka Beata w USA. Często odwiedzają stary wyremontowany dom rodzinny swoich rodziców i dziadków w Pnikucie, w którym wszystko jest tak, jak dawniej – jakby gospodarze nadal tam mieszkali. Przyjeżdżają, jak sami mówią, bo jest tam pięknie, spokój i cisza... Śmiem twierdzić, że w tej ciszy „słyszą” głosy najbliższych, których już nie ma,

a ściany ich domu emanują dobrą energią, która jest im potrzebna i stąd potrzeba tych powrotów do rodzinnego gniazda.

O szlachetności Genowefy i Jana Furmanów mogą również świadczyć słowa ich zięcia, Adama B.: cyt.: „... miałem szczęście być w tym domu jako zięć i wiem, i widziałem, i byłem świadkiem jaka była moja teściowa Genowefa Furman – to była chodząca świętość.” Wzorem swoich teściów pan Adam w latach 90-ych bardzo zaangażował się w świadczenie różnorakiej pomocy pnikuckiemu kościołowi i parafii: remonty kościoła i plebanii, ogrodzenie oraz sponsorowanie wyjazdów pnikuckich dzieci na kolonie do Polski.

Informuję, że udostępniam wspomnienia pani Genowefy Furman na stronę internetową za zgodą najbliższej rodziny, tj. Państwa Bacza, którzy obdarzyli mnie pełnym zaufaniem powierzając mi osobisty notatnik swojej mamy, teściowej i babci, pozwalając na jego udostępnienie na stronie internetowej pnikut.net. Za ten gest bardzo, bardzo im dziękuję. Dziękuję również za zaproszenie na wspólny wyjazd do Pnikuta, w którym tkwią również moje korzenie rodzinne, więc postać pani Gieni, dawnej przyjaciółki mojej mamy stała się mi bardzo bliska i chciałabym ją ocalić od zapomnienia. Liczę na zrozumienie ze strony Administratora strony pnikut.net pana Kazimierza Paprockiego, któremu zawsze bliskie sercu jest wszystko co dotyczy dawnego Pnikuta, tej Małej Ojczyzny naszych dziadków i rodziców. Liczę również na życzliwość wszystkich, którzy zechcą przeczytać te niezwykle wspomnienia.

Z poważaniem

Maria Rączka z Rybnika

Mój e-adres: mariara@poczta.onet.pl

Z notatnika p. Genowefy Furman z Pnikuta

1939 r. wrzesień – Słuchamy radio, a ono mówi: Niemiec w nocy napadł na Polskę. - Czy to możliwe? – przecież mamy powiadomienie, że jesteśmy z koleżanką przyjęte do szkoły, do gimnazjum. Mówimy, że to pomyłka w radio, to niemożliwe, ale gdy przyszedł sąsiad, to potwierdził, że to jest prawda. Straszna rozpacz – co będzie dalej, co z nami? Nazajutrz już zabierają mężczyzn do wojska na wojnę. – Boże, co za rozpacz! – Polsko, czy znów Cię czeka niewola?! Ogłoszenia: „Róbcie schrony, bo niemieckie samoloty bombardują i polskie wojska i cywilny naród polski.” Trwoga! Ludzie robią schrony, mężczyźni idą na wojnę, płacz i zamęt. Parę dni później, a tu przez naszą wioskę jadą czołgi i Niemcy jadą. Często bardzo rumieni się człowiek musi za owych ludzi, którzy stracili wszelkie poczucie czci i godności własnej, za Judaszowe srebrniki bezsumiennie wiedli naród do hańby i sprzedawali Ojczyznę. Zapomniano też, że najpierw wrogowie nasi ciągle się o to starają, aby wszystko ujawnić, co tylko jest na naszą niekorzyść. Właśnie z takich wybrali zarząd.

Dyrektor szkoły Kwiatkowski Stanisław był oficerem i legionistą, walczył razem z Piłsudskim i miał zrobione zdjęcia z Piłsudskim, jak walczyli o wolność dla Polski. Pobiegłam z ranka do Kwiatkowskiego dyrektora szkoły, aby był ostrożny, bo Moskale mogą go zabrać, bo wszyscy mówią, że Moskale się zbliżają. Gdy przysłam na podwórko szkoły, to o dziwo, było tu około 200 polskich żołnierzy. Wszyscy na białych pięknych koniach. Ci żołnierze przedzierali się na Węgry. Starsi oficerowie i major byli w pokoju u dyrektora Kwiatkowskiego. Jaka to była radość ich zobaczyć! Córka Kwiatkowskiego powiedziała mi, że dyrektor Kwiatkowski miał ich przeprowadzać do Węgier.

Po kilku dniach, zarządca dóbr kapitulnych pan Potlewicz z żoną i dziećmi potajemnie wyjechali.

Ksiądz Szurek – proboszcz naszej parafii, też dowiedział się, że Moskale przekroczyli polską granicę i w nocy potajemnie wyjechał. Snująca się nić nieprzerwanych wypadków, zgiełku, trwogi i strachu. Minęło 2 tygodnie, od pojawienia się Moskali w naszej wiosce. Straszne to było wojsko: czapki na

szpic, szynele (płaszczce) stare obszarpane, a cuchnące rybim tranem. Ludzie uciekają od nich, chowają się. Moskale mówią, że te ziemie, które mamy na własność, musimy im oddać na kołchozy. Ludzie w to nie wierzą, bo jak można własną ziemię komuś zabrać? Na naszą wioskę Pnikut dali uczestkowego, tj. milicjanta Steciuka, który był enkazowistą, żył na wiarę z Hanką Czerniec, po mężu teraz Frycyszen. Podłości nie brakło, haniebne postępowanie było skutkiem trwogi i strachu. Zaczęły się aresztowania. Wiele ludzi do dzisiejszego dnia nie wróciło z więzień np.: Stach Kosowski, Szymek Czuryło, Kazik Lech, dyrektor szkoły Kwiatkowski i wielu innych. Na podstawie oszczerczych zeznań wywieziono na Sybir rodziny: Kwiatkowskiego i Lesniego. Z każdym dniem było więcej trwogi i strachu. Chodziliśmy do kościoła i błagaliśmy Boga o ratunek dla Ojczyzny. W tym samym czasie zmarła mi moja mama. Prosiłam Boga, żeby i mnie zabrał do siebie, już nie chcę żyć.

22 lipca 1941 r. przyszli Niemcy i byli do 1944 r. Jak oni męczyli ludzi! Wymagali różne kontyngenty – zabierali krowy i dawali talony, zabierali od ludzi zboże. Dawali kontyngenty tak wielkie, że dla ludzi już nic nie zostawało. Ludzie bardzo biedowali. Gdy do nas przyszedł Niemiec, to kazał dać 9 metrów pszenicy w ciągu 2 dni. A nie było maszyn do młócenia, tylko cepami my młócili. Po 2 dniach przyszedł Niemiec, a my tylko 6 metrów omłócili, bo nie zdążyli więcej, więc zabrał ojca naprzeciw siebie i mówi po niemiecku: - Chodź, ja cię nauczę dyscypliny! Ojciec po niemiecku dobrze rozumiał i mówi do nas: „- Dzieci, on mnie prowadzi do rzeki i chce mnie zabić. My poupadali na kolana i błagali Niemca, że do rana całą noc będziemy młócić i rano wszystko zdamy. On na nas popatrzył i puścił ojca. Wszystko zboże ludzie pozdawali, a sami jedli chleb z kukurydzy i kartofle. We wsi żyli Żydzi, to ich zabrali do Lwowa- tam było getto. Nie wolno im było niczego zabrać ze sobą, tylko co do ręki wzięli i na piechotę ich gnali do Lwowa. Który Żyd był stary i nie mógł iść, to do lasu przy drodze i zabijali. Brak sił, by to opisać.

Pewnego dnia przyszedł Niemiec z dziesiętnikiem i dał rozkaz, żeby z każdego domu jedna osoba zdolna do pracy zjawiała się w gminie, bo będą zabierać do pracy do Niemiec. Z każdego domu, kto do pracy zdolny, musi jechać do pracy do Niemiec. To był zamęt w każdym domu. Siostra moja się schowała, bo nie chciała jechać, to oni przyszli w nocy i mnie zabrali, ale że byłam niepełnoletnia,

to trzymali mnie w gminie dopóki siostra nie przyszła. Siostra bała się o mnie i musiała pojechać do Niemiec do pracy.

Pewnego dnia sąsiad Dorosz Leon jechał końmi do Lwowa do siostry, która była w zakonie, więc poprosiłam go, żeby mnie też zabrał do Lwowa, chciałam wstąpić do zakonu. Odszukałam trzy zakony – porozmawiali ze mną i bardzo chętnie byliby mnie przyjęli, gdyby nie to, że sami pakują rzeczy i muszą wyjechać, bo dostali nakaz od niemieckiej władzy i nie wiedzą gdzie pojadą. Powiedzieli mi tam, że we Lwowie jest getto, gdzie Żydzi są otoczeni Niemcami i bardzo głodują i z głodu umierają. Miałam ze sobą kurę i trochę krup (kaszy) i pomyślałam, że im to zaniosę. Pomodliłam się i w Imię Boże poszłam. Ci Żydzi nie mogli uwierzyć, że ja się tam tak dostałam. Co miałam, to im dałam. Żydzi mi mówili, że bardzo głodują, bo ich nie wypuszczali z getta. Jedni leżeli wyczerpani z głodu i czekali na śmierć, drudzy czekali na transport i mówili mi, że ich będą zabierać na śmierć. Takie straszne wrażenie wywarło na mnie to getto, że gdy wracałam, to w ogóle nie przeżywałam, jak mnie stąd wypuszczają. Niemiec, który był na warcie, był zainteresowany dwoma mężczyznami, którzy chcieli się dostać do getta, a ja przeszłam, jakby mnie nie widział. To była moc Boska, modliłam się gorliwie. Powiedziałam, że takiego piekła na ziemi, to mało kto może zobaczyć.

Niemcy urzędy poobsadzali Ukraińcami, milicjanci to byli ukraińscy esesowcy. Nie było się do kogo zwrócić, komu uzalić, a ukraińscy nacjonaści bandowali się (tworzyli bandy) i zaczęli mordować Polaków w okrutny sposób. Mordowali polskich księży. W Tusakowie zamordowali polskiego księdza. Przyjechali furmanką bez siedzenia i rzucili go na deski, i zawieźli pod most, a tam go w okrutny sposób zamordowali. Gdy znaleziono jego zwłoki, był nie do poznania. Za Krukienicami żyła rodzina Szajerów – Polacy. Banda ukraińska przyszła wieczorem i ich wymordowała (zastrzelili ich), tylko jedna dziewczynka upadła pod rodziców i ranna, kiedy bandyci wyszli, przyczołgała się do sąsiadów. Kiedy się potajemnie wyleczyła, to wyjechała do Polski. Pod Samborem też wiele polskich rodzin wymordowali, a domy palili. Na skraju Bolanowic, miejsce nazywa się Bolanówka, mieszkała polska rodzina Bartnickich. Ludzie ci nigdy nikomu nic nie zrobili. W nocy przyszli bandyci, wszystkich wystrzelali, tylko jeden chłopczyk, gdy strzelali to upadł pod matkę, a bandyci myśleli, że i on zabity i poszli się coś naradzać. Ten 4-letni chłopczyk bosko po śniegu uciekł aż

do Pnikuta do rodziny, a bandyci koło północy spalili dom i zabici też się spalili. Chłopczyk rósł u swoich krewnych, a gdy już miał swoje dorosłe lata to ożenił się i wyjechał do Polski. Pod Samborem też bardzo dużo ludzi wymordowali, a domy palili. Jeden Polak spod Sambora, dawał znać, że tam mordują Polaków i zaraz palą. Ludzie widzą, że rzeczywiście łuna wielka, to znaczy, że ten Polak mówi prawdę. Zaczęli uciekać w stronę Mościsk tak, że z Krukienic wszyscy Polacy uciekli, a w Pnikucie tylko parę numerów zostało, bo sąsiedzi i my późno się dowiedzieli. Dorosz Leon przyszedł do nas i mówi: „- Idźcie, popatrzcie, co ci co koło gościńca (mieszkają) robią.” Myśmy poszły z sąsiadką, to nie było ani jednego człowieka, bo wszyscy puciekali w stronę Mościsk furami i na piechotę szli, aby uciec przed śmiercią. Nazajutrz w Mościskach tych ludzi uspokojono i ludzie wrócili do domu. Ksiądz Walerian Motyka jeszcze odprawiał msze w kościele, to w nocy też go napadli, ale on się tego spodziewał i uciekł im, i ukrywał się pomiędzy ludźmi. Na Wołyniu też bardzo dużo tysięcy ludzi banda ukraińska wymordowała. Jak była rodzina mieszana, np. mąż Ukrainiec, a żona Polka, to żonę brali i zaraz na progu zabili, a dzieci do studni wrzucali, brali za nogi i do słupa zabijali. Tak, że wszystkich Polaków wymordowali. Paru chłopaków nocą uciekło aż do Pnikuta i to opowiadali.

To były okropne czasy. Naród modlił się i wzywał Boga o ratunek i Bóg wysłuchał ludzi. Samolotami zrzucili wojsko AK. To wojsko stało w pnikuckim lesie. Do nich przyłączyli się ci, co uciekli z Wołynia. Nocą samoloty z Anglii zrzucały im broń. Ci żołnierze z AK mieli sygnały i wiedzieli gdzie i kiedy będą zrzucać. My byliśmy bezpieczniejsi, bo Ukraińcy ich się bali. W 1944 r., gdy następowali Moskale ze wschodu, to Niemcy się wycofywali, a partyzanci AK zebrali się i szli do Polski. Przed kościołem w Pnikucie ksiądz Walerian Motyka wyszedł i błogosławił im i wojsko AK wyruszyło w drogę do Polski. W wiosce Pakość, teraz nazywają ją Nazirne, kobiety wyleciały z motykami do tych wojskowych AK, a z Cerkwi padły do wojskowych strzały. Żołnierze tych 8 kobiet w tej zamieszce zabili. Z tej wioski Nazirne ludzie byli wrogo do nas Polaków nastawieni i dalej „wrogują” na nas. Ksiądz z Pnikuta Walerian Motyka był zmuszony wyjechać, bo ci wszyscy Ukraińcy z wiosek sąsiednich powiedzieli, że ksiądz poświęcił im broń, a to była nieprawda. Ksiądz musiał opuścić naszą parafię i wyjechać do Polski w lipcu 1944 r., bo za nim przychodzili w nocy i chcieli go zabić. Ksiądz się ukrywał, dopóki nie wyjechał. Zostali parafianie bez księdza. Kto był młodszy, silniejszy, to dostawał się do kościoła do Myślatycz,

do Mościsk, Sambora, ci wszyscy starsi i dzieci, to gromadzili się w naszym kościele w Pnikucie na wspólną modlitwę i śpiewali pieśni. W kościele ludzie błagali Boga, by się nad nami ulitował.

W 1944 r. w sierpniu, Moskale wkroczyli do naszej wioski i do naszego województwa Lwowa. Zaczęli zajmować wszystkie urzędy: w gminie, na poczcie, w szpitalach itd. Byli to NHB (kolaboranci hitlerowscy) – pierwsza ich robota to była mobilizacja wszystkich mężczyzn od 17 lat do 50 lat. Wygrazali, że jeżeli ktoś nie zechce iść, to złapią i od razu zabiją. Ludzie przeżywali, bo im nikt nie wierzył. Wiedzieli, że to komuniści oszuści i nigdy nie mówią prawdy. Niestety, musieli iść. Zabrali ich na zborny punkt w Drohobyczu, tam się gromadzili przez 2 tygodnie. Później ich wysłali do Polski i na front, bić się z Niemcami. Jak tylko wybrali wójta, to zrobili zebranie i powiedzieli, że kto ma ziemię, to wszystko musi oddać na ich rząd, to znaczy na kołchozy. Świadomość ogólna była nie do przyjęcia. Ludzie nijak (w żaden sposób) nie mogli tego zrozumieć, jak to – ziemia z dziada pradziada ich własność i mieli oddać wrogowi. Dali rozkaz rozbierać stodoły i przymusowo zabierali ludzi do pracy, czyli budować kołchozy, stajnie na krowy i konie – krowy zabierali do kołchozu. Gospodarze, którzy mieli konie, musieli jeździć na normy, to znaczy wywozić z lasu drzewo. Jedni wywozili z lasów drzewo, drudzy budowali kołchozy. Tych ludzi, którzy nie chcieli iść rozbierać ludziom stodoły, to zabierali do gminy i tam mówili do nich, że są przeciwko nim. Bili ich i mówili, że powywożą tych, którzy ich nie słuchają na Sybir. To byli NHB wojskowi, ludzie ich się bardziej bali niż gestapo. Jeden z NHB był upoważniony do naszej gminy, pisał się (nazywał się) Sztykin, drugi pisał się Swinar....? Zrobili zebranie w gminie wraz z wójtem i wybrali ludzi do pomocy im, tzw. dziesiętników. Oni mieli za zadanie chodzić po domach i wypędzać na normy, to jest wywozić drzewo z lasu, ludzi zmuszać, ażeby rozbierali stodoły. Kto jeszcze nie rozebrał, spisywali i podawali do gminy, a w gminie to ich bili ci dwaj NHB i trzymali dopóki się nie podpisali, że nazajutrz stodoły rozbiorą i przywiozą materiały ze stodoły na tak zwane miejsce kołchozu. Gospodarze, którzy wywozili drzewo z lasu też mieli przydzieloną ilość tak, że dniem i nocą wozili i nie mogli nawet raz na tydzień przyjechać do domu, ażeby nabrać jedzenia koniom i sobie, bo gdy przyjechał jakiś, to zaraz zabierali go do gminy i tam bili ci dwaj NHB i musiał natychmiast wyjeżdżać do lasu wozić drewno. Członek rodziny dostarczał im do lasu jedzenie.

Ziemię państwową i kapitulną zaraz gdy tylko wkroczyli, zabrali do kołchozu, a ludzi młodych i zdrowych wypędzali do pracy na tej ziemi. Do nas przyszedł pan Głogowski, który pracował w mleczarni jako kierownik i mówił do ojca, żeby mnie dał do mleczarni do pracy jako księgowy, bo w domu mi i tak nie pozwolą być. Dyrektorem mleczarni był pan Wójcicki. Do mleczarni pnikuckiej należało 30 wiosek. Praca była ciężka. Ja podjęłam tą pracę, bo dyrektor był bardzo religijny i skryty. Pochodził z wielkiej rodziny, lecz nie przyznawał się do nikogo i kto go pytał, to mówił, że nie ma żadnej rodziny. Był bardzo mądry, ukończył studia w Gdyni, magister-inżynier i też się im o tym nie przyznawał. Zaczęli zmuszać wszystkich ludzi, ażeby wszystką ziemię oddać do kołchozu. Ci, którzy mieli konie i wywozili z lasu, to myśleli, że im dadzą spokój i nie będą się musieli zapisać do kołchozu. Niestety, dziesiętnik chodził po domach z Moskałem, Moskał uzbrojony i wszystkich tych, którzy nie chcieli się zapisać do kołchozu brał i pędził do gminy. Nikt początkowo nie chciał się zapisać do kołchozu. Gdy tych ludzi przypędził do gminy, tam ich Moskale zamykali w jednej izdebce i dali im czas do wieczora się namyślić. Wieczorem, gdy przyszli ze wsi i oni nie chcieli się podpisać i oddać ziemi do kołchozu, to brali ich po dwóch do osobnej izdebki i bili, torturowali tak, że krew po ścianach się lała, a oni brali wody i lali na nich zimną wodę, ażeby ich opamiętać. Gdy ich tak namęczyli, to brali następnych dwóch i tak do rana ich męczyli. Rano tych wypuszczali, a następnych przypędzali z wioski. Gospodarze uciekali przed tymi Moskałami po lasach i w domach, gdzie mogli, tam się chowali, ażeby nie iść do gminy, bo już wiedzieli, co ich czeka. Ziemi do kołchozu w żaden sposób nie chcieli oddać. Stodoły porozbierali i zabrali do kołchozu. Konie też pozabierali, krowy zabierali, tylko po jednej zostawiali gospodarzom. Nam zabrali dwa konie, wozy, pługi i brony i dwie krowy. Mój ojciec, gdy go zabrali do gminy i tam też go bardzo pobili, to mówił: - „Dzieci moje, to szatany w ludzkiej skórze. Pracowałem 4 lata we Francji, 2 lata w Ameryce i kupiłem ziemię, to Moskale mnie biją, żeby za darmo im oddać. Dzieci, prosimy Boga, żeby tą plagę Bóg od nas odsunął. Może się zmieni i nie trzeba będzie ziemi oddawać do kołchozu.” Ludzie byli bici, a ziemię nie tak łatwo chcieli oddać.

We wrześniu 1944 r. przyjechało do naszej gminy do pomocy więcej Moskali komunistów. Zrobili zebranie i wystali dziesiętników, ażeby iść po wiosce i na każdy numer gospodarki nałożyć przymusową pożyczkę. Między tymi Moskałami był jeden komunista familia (nazwisko) Bozaczow – był uzbrojony

i bardzo niedobry. On chodził zbierać pożyczkę, a do pomocy miał kobietę Moskalkę – ludzie ją nazywali Hana. Chodzili do każdego domu i rozkazywali, żeby za 2 dni, taką sumę jaką mieli na liście zrobionej z gminy, ludzie przynieśli do gminy. Suma pożyczki była bardzo wielka na każdy numer domu – było po 1500-1000 rubli, 500 najmniej. Był to kłopot bardzo wielki, bo ludzie w ogóle nie mieli z czego zrobić tych pieniędzy, a żeby zdać tą pożyczkę. Starali się jak mogli, co mieli w domu to wysprzedawali; świnie, kury, jaja, masło, a żeby tą sumę mogli nazbierać i zdać. Myśleli, że jeżeli zdadzą pożyczkę, to może Moskale dadzą im spokój z ziemią, by zdać ją do kołchozu. Niestety, nie. Pożyczkę zdali, a Moskale dalej ludzi zmuszali, a żeby ziemię zapisać do kołchozu. Jedna dziesiąta część gospodarzy nie wytrzymała tego strachu i przygnębienia i zdali swoją ziemię do kołchozu, a reszta stanowczo nie chcieli zdać. Ja z dziećmi każdego dnia wieczorem zbieraliśmy się w kapliczce na modlitwie i śpiewaliśmy pieśni błagalne. Starsi ludzie też się do nas dołączali i razem z nami modlili się. Tą pieśń: „- Boże Ojczy, Twoje dzieci płaczą, żebrzą lepszej doli. My w niewoli, my w niewoli ...itd.” – w każdy wieczór śpiewaliśmy. Do kapliczki chodziliśmy od 1941 roku co wieczora. Niemcy za to nas nie karali. Ksiądz Motyka, póki nie wyjechał, to też do kapliczki do nas przychodził i razem z nami się modlił. Z koleżanką Dorosz Janiną kupiliśmy do kapliczki Krzyż i dwa obrazy. Dałyśmy Pawłowskiemu Stanisławowi z domu trochę produktów i on z Polski nam to przywiózł.

Nadal Moskale nie dali nam spokoju - stodoły porozbierali i zabrali, gospodarze normy drzewa z lasu wywieźli, pożyczkę zdali, ale Moskale nadal tych ludzi co nie zdali ziemi do kołchozu zaczęli atakować, męczyć, wzywać do gminy, a że nie chcieli, żeby widzieli inni jak ich biją, to wzywali do Krukienic na posterunek, a tam już się musieli podpisać, bo nie mogli wytrzymać tych tortur. Przymuszali ziemię oddać do kołchozu od 1944 do 1947- 48 roku. Jeden tylko gospodarz w Pnikucie nie podpisał – to był Dorosz Kazik.

Gospodarze zdali ziemię do kołchozu, nie było z czego chleba piec, powstał wielki głód. Z buraka cukrowego ludzie brali wytloki i z nich placki piekli. Aby wyżyć, to ludzie co mieli w domu to zabijali – kury, gęsi, cielaki, mieli trochę kartofli i na pół głodni chodzili do pracy do kołchozu. Na 1945 rok znowu nałożyli przymusową pożyczkę. Ludzie prosili Moskale, by dali im spokój, bo są głodni, nie mają czym żyć i nie ma skąd wziąć i z czego zrobić tych pieniążków

na pożyczkę. Do nas jak przyszli, to ojciec im mówi: - „Nie mam nic, tylko trochę kartofli, to na życie, a na sadzenie nie będzie. Już jest głód, a jeszcze większy będzie, bo wszystko zabraliście nam.”. Moskał mówi: - „Wy jeszcze żyjecie, a u nas w Rosji ludzie z głodu powymierali, całe wioski powymierały z głodu. Ludzie z głodu puchli i tych co pierwsi umarli, ci co jeszcze żyli, to ich ciała martwe jedli. Całe wioski powymierały z głodu.” Nie było żadnego tłumaczenia przed nimi – Moskałami.

W 194...r. z Polski przez Przemyśl, szosą na Lwów, pędzili polskich jeńców. Było ich bardzo dużo, więcej niż 500 jeńców. Byli bardzo zmordowani, głodni, wymęczeni. Do Pnikuta dali znać Polacy z Mościsk, że takiego dnia pójdą polscy niewolnicy i kto co ma z żywności, to niech im niesie, bo oni pójdą przez Mościska. Z Pnikuta było nas kilka – do 15 osób, a w Mościskach było bardzo dużo ludzi. Ustawili się w szereg i jak nadeszli ci jeńcy, to my im rzucali, a Moskale to nas bili i rozpędzali, a tych jeńców to kolbami bili, potracali – to było coś okropnego. W Mościskach dowiedziałam się, że to byli polscy oficerowie. Starszy pan, Polak, jak widział w Mościskach tych umęczonych ludzi, to powiedział, że nigdy nie da swoich synów na oficerów.

W 1945 roku w maju przyjechał do naszej parafii ksiądz Jerzy Ablewicz, rok po studiach kapłańskich. Ja z koleżanką ubierałyśmy ołtarze w kościele. Ks. Jerzy Ablewicz zabrał się do pracy bardzo gorliwie. Każdą rzecz w kościele obejrzał, która była zaniedbana to ją odnowił. Chrzcielnicę dał nową zrobić, bo do jego przyjazdu nie było chrzcielnicy, tylko w słupie było miejsce na oleje święte. Musiałyśmy z koleżanką kupić Iniane płótno i uszyć pokrycie na baldachim, bo ksiądz dał taki rozkaz. Kazania piękne głosił. Pewnego razu nas przywołał – mnie i koleżankę i mówi nam, że tu ludzie głodują, ale w Przemyślu zakonnicy bardziej głodują i im trzeba pomóc. Poszłyśmy więc z koleżanką do pewnych gospodyń i poprosiłyśmy, żeby za 3 dni coś przyszykowały do soboty, by móc to podać, bo Dorosz Bronisława pojedzie furmanką i im zawiezie. Po 3 dniach przyniosłyśmy z koleżanką 5 bochenków chleba, kaszę i kury. Ksiądz Ablewicz był bardzo zadowolony i podał to do Przemyśla.

Ksiądz Ablewicz uczył katechezy i mnie wypytywał bardzo dużo z nauki religii, z Biblii z Pisma Świętego i przygotowywał mnie, jak mam uczyć dzieci religii. Ja mu mówię, że ja chcę wyjechać do Polski i tam się uczyć. Ksiądz Ablewicz mówi: - „Nie, ty tu jesteś potrzebna. Pamiętaj, posłuchaj mnie, bo tak Bóg

chce". Więc posłuchałam. Ksiądz dał mi Biblię Starego Testamentu i Nowego Testamentu i Katechizm, i Pismo Święte, i zaczęłam uczyć katechezy jeszcze przy jego obecności. Dzieci bardzo dużo chodziło na katechezę. Byłam zadowolona, bo ksiądz pochwalił mnie, że dobrze uczę. Ksiądz Ablewicz w naszej parafii odprawiał msze św. i do Krukienic też jeździł odprawiać. Tam parafianie też go bardzo polubili. W swojej skromnej izdebce na plebanii zawsze wieczór śpiewał pieśni do Matki Boskiej: „O, Panno Święta do Twych stóp” i bardzo dużo innych tak, że ja później uczyłam dzieci tych pieśni. Pewnego razu zawołał mnie i powiedział: „- Gieniu, ja muszę wyjechać, a Ty ucz dzieci każdego roku, a Bóg ci pomoże.” Smutne nigdy niezapomniane pożegnanie. W sierpniu 1946 roku był zmuszony opuścić naszą parafię. Ksiądz Ablewicz pracował u nas krótko, ale jak to słońce świeci i wszystko do życia powołuje, tak ten Boży sługa był dla dusz naszych tym promykiem słonecznym, który każdy zakątek duszy oświecił i pobudził do życia z Bogiem. Nawet zatwardziały chęć grzeszników w tak krótkim czasie naprowadził na drogę pojednania z Bogiem. Gdy się widziało Jego pracę nad parafianami to całkiem można powiedzieć, że był ziemskim aniołem. Niestety, był zmuszony opuścić naszą parafię. Ostatnia msza św. nigdy nie zapomniana, była dla nas parafian tragedią dlatego, że gdy ks. Ablewicz zakończył mszę św., zabrał Przenajświętszy Sakrament i otworzył tabernakulum na znak, że nie ma już tu Przenajświętszego Sakramentu, że Pan Jezus jest już z naszego kościoła zabrany. To był okropny żal. Po mszy św. zaśpiewaliśmy: „Jezu, nie opuszczaj nas!”. Gdyśmy wychodzili z kościoła za bramą kościoła zaśpiewaliśmy : „Idźmy, tulmy się jak dziatki...” Procesja szła przez Pnikut: ksiądz Ablewicz szedł za *chorągwi*ami (nieczytelne!) za księdzem szły dzieci parami , które rzucały kwiaty na Boże Ciało i które były u 1-ej Komunii św., za dziećmi szła młodzież i starsi. Śpiewaliśmy przez całą drogę: „Matko, nie opuszczaj nas”, „Serdeczna Matko”... Śpiew był połączony z płaczem. Za Pnikutem ksiądz wszedł na furę, a dzieci i my wszyscy mieliśmy bukiety kwiatów i rzucaliśmy na furę, tak że cała fura była kwiatów. Tak żegnaliśmy księdza Ablewicza. W pierwszą niedzielę po odjeździe księdza Ablewicza poszłam do kościoła do Myślatycz. Po mszy św. ksiądz Michał Świdnicki posłał ministranta żebym zaczekała. Ksiądz wiedział, że ja dzieci uczę do 1-ej Komunii św. i obiecał mi dać duże obrazy, i to co uczyłam, to pokazywałam im na obrazie, i dzieci sobie to lekko zapamiętywały. Ja nadal

pracowałam w „masłozawodzie” (fabryce masła) jako księgową, a dzieci uczyłam w kościele. Do 1948 roku nikt nas nie prześladował.

W 1945 r. Moskale dalej tych ludzi co jeszcze nie zapisali ziemi do kołchozu, w różny sposób prześladowali. Ukraińscy bandyci nadal napadali na Polaków. W 1945 r. w Pnikucie napadli na Stanisława Dorosza, obrabowali całą rodzinę doszczętnie. Wszystko im zabrali – ubrania, buty, a później tak ich bili okropnie i nakazali, żeby nie mówili nikomu, bo jak powiedzą, to przyjdą, zabiją ich i spalą. Za 2 tygodnie przyszli do następnego gospodarstwa, to jest do Dorosza Leona. Leon ich nie wpuścił, to oni zaczęli strzelać przez okna, po dachu, ale narobił się we wsi szum, krzyki i bandyci puciekali, bo się bali już moskali. Moskale, tak jak w naszej wiosce, tak i po ukraińskich wioskach przymuszali gospodarzy, żeby ziemię zdać do kołchozu. Stodoły rozbierali, a pożyczkę też musowo musieli zdać Moskalom. W naszej wiosce tylko tych 2 gospodarzy obrabowali, a reszty się bali, bo już byli Moskale w naszej wiosce. Po ukraińskich wioskach w dzień chodzili Moskale i męczyli ludzi, żeby ziemię zdać i pożyczkę, a w nocy chodzili ukraińscy bandyci i zabierali żywność, świnie, kury, masło, buty i ubrania. Moskale zapisywali przymusowo młodzież do Komsomołu. Jak widzieli ci co pracowali w urzędach, że idą zapisywać do Komsomołu, to gdzie mogli kryli się przed nimi, uciekali. Ci co się zapisali, to ukraińska banda przychodziła w nocy i zabierała ich. Włosy dziewczynom obcinali na goło, kładli na krzesła i bili – 25 kije tak, że te dziewczyny nie pokazywały się już do urzędu. W naszej wiosce nie było tych Ukraińców, a w Krukienicach to wszystkich komsomolców połapali, postrzygli i pobili. Zaczęli ukraińscy banderowcy zabijać tych Moskali, którzy chodzili po wiosce zbierali pożyczkę i przymuszali do kołchozu się zapisać. W każdej ukraińskiej wiosce zabili po 2-3 Moskali. Wtenczas Moskale zaprosili do pomocy wojskowych i robili tak zwaną obławę. Bardzo dużo wymordowali Ukraińców. Jak robili obławę to brali wszystkich mężczyzn, którzy byli zdrowi i gnali ich na posterunek w Krukienicach. Stamtąd mało kto z tego śledztwa wrócił do domu. Pytali, gdzie są bandyci i ci, co nie chcieli mówić to w nocy ich zaraz na miejscu strzelali. Obławy robili codziennie po wszystkich wioskach. Ludzie uciekali bo się bali iść na posterunek, bo wiedzieli co ich tam czeka. A Moskale, jak widzieli że ktoś ucieka, czy winien, czy nie, to bez pytania strzelali. Każdego dnia furami przywozili trupów na posterunek, tam robili im zdjęcia a ci, którzy kopali im jamy, to też i sobie, bo Moskale też ich wystrzelali.

Ludzie widząc, co się robi, ze strachu zaczęli oddawać ziemię do kołchozu, ażeby tylko zostać przy życiu. Kto miał krowę, to musiał oddać przeznaczoną ilość mleka, tzw. kontygent. W naszej wiosce była mleczarnia i należało do niej 30 wiosek, które dostarczały mleko, a w naszej wiosce przerabiali je na masło, a masło odstawiali codziennie na Lwów, Stryj i Drohobycz. Ja i moja kasjerka miałyśmy w księgowości bardzo dużo pracy i pracowałyśmy zawsze do późnego wieczora ażeby na czas zdać bilans. Pewnego wieczoru przyszło do naszej kancelarii czterech mężczyzn uzbrojonych w mundurach, ubrani tak jak Moskale. Zapytali, dlaczego tak późno pracujemy. Ja ze strachu nic nie odpowiedziałam, a koleżanka mówi, że jest dużo pracy. Oni zgasili światło i mówią: „Marsz do domu i nikomu ani słowa!”. Pobiegłyśmy przestraszone prosto do Kapliczki Bogu podziękować, że żyjemy, ale do domu bałyśmy się iść, bo przez drogę zrozumiłyśmy, że to byli bandyci. W tą samą noc bandyci zabrali z mleczarni 140 kg masła i wywieźli w las. Chodzili za dyrektorem mleczarni, ale gospodyni, gdzie mieszkał dyrektor schowała go i powiedziała, że wyjechał do Stryja. Bandyci, jak nas wypędzili, to podpalili nasze dokumenty, ale co ważniejsze to były schowane u dyrektora na kwaterze. Nazajutrz przyjechał prokurator śledczy i Moskale, szukali masła i znaleźli w lesie.

W 1946 roku we wrześniu dyrektor Wójcicki wysłał mnie do szkoły do Lwowa, gdzie uczyłam się na głównego księgowego. Dyrektor wiedział, że ja uczę dzieci do 1-ej Komunii św., to ja przyjeżdżałam w każdą sobotę i niedzielę do domu i uczyłam dzieci w naszym kościele.. W niedzielę po nauce religii pojechałam na rowerze do Myślatycz do ks. Michała Świdnickiego i mówię mu: „- Księżę Proboszczu, dusze naszych parafian całkiem wyjałowiejają, jak nie będzie mszy św. w naszym kościele. Dusze naszych parafian będą karłowate. Koniecznie proszę Księdza o pomoc dla nas.” Ksiądz powiedział, że trzeba jechać do Drohobycza, do upoważnionego od religii i prosić go o pozwolenie, by choć raz na miesiąc on mógł przyjeżdżać. Ksiądz powiedział, bym wzięła ze sobą jakiegoś gospodarza. Mówiłam kilku, ale każdy się bał, więc pojechałam sama. Znalazłam tego od spraw religijnych i długo prosiłam go o tą sprawę i na koniec dał mi tą „sprawkę” i nie wyznaczył mi, kiedy ma przyjeżdżać, tylko że zezwala księdzu Świdnickiemu przyjeżdżać, odprawiać mszę św. w Pnikucie. To była moja największa radość. Bogu dziękowałam całą drogę. Przywiozłam tą informację ks. Świdnickiemu. Bardzo się ucieszył i powiedział, że teraz będzie przyjeżdżał. Dzieci do 1-ej Komunii św. w 1947 r. jeździły do kościoła do

Myślatycz, a w 1948r. to już były w naszym kościele w Pnikucie u spowiedzi i u Komunii św.

Gdy skończyłam szkołę we Lwowie nadal pracowałam jako księgowa w mleczarni. Dyrektor Wójcicki powiedział mi, że musi iść z Pnikuta, bo go poszukują. Dali na dyrektora mleczarni Moskala Karotniuka. Nie był złym człowiekiem. Będąc małym chłopcem był w duchu Bożym wychowywany. Do kościoła nigdy mi nie wzbraniał chodzić. Pewnego dnia zadzwonili z Krukienic z posterunku, żebym się natychmiast do nich zgłosiła, więc poszłam prosto z pracy. Oni mi powiedzieli, że jestem aresztowana. Pytam za co, to oni powiedzieli, że dowiem się. Byłam w celi zamknięta 3 dni. Modliłam się, bo nie wiedziałam za co mnie zamknęli. Po trzech dniach przyszedł naczelnik więzienia i kazał mi iść do pracy. Dyrektor mleczarni powiedział mi żebym dzieci uczyła ostrożnie. Ksiądz Świdnicki kazał mi uczyć w kościele, więc uczyłam każdego roku w kościele i nikt mi nie przeszkadzał. Ksiądz Świdnicki odprawiał mszę św. w naszym kościele, było już lżej oddychać. Ksiądz dawał śluby, chrzty i pogrzeby odprawiał - nikt mu nie wzbraniał. Po mszy św. zostawał w kościele i mnie wypytywał, czy mnie nie prześladowają, że uczę dzieci. Był bardzo zadowolony. Mówił mi: „- Patrz, czy to nie cud? Ludzie mieli po 5 – 3 – 1 hektar pola, a teraz gdy musieli ziemię oddać, to mają tylko koło domu te 20 arów i żyją tak jak żyli przed tym – to wszystko moc Boska.” Mówił mi, że gdy późnym wieczorem we żniwa wyszedł na dwór, było słychać jak ludzie brali kłosa do worków i palicami młócili i tylko echo było słychać z dala. Pytał się, czy i u nas tak młócili. Mówiłam mu, że nie tylko u nas , ale po wszystkich wioskach ludzie dawali sobie radę.

W 1948 r. Moskale brali chłopców na Donbas. Który miał 18 lat to był zobowiązany iść na Donbas. Mówili że do pracy, lecz z naszej wioski kto poszedł, to nie wrócił, a moskale mówili, że bandyci ich zabili. Tadek Skrabka sam jeden u rodziców był jak go zabrali i już nie wrócił. Gospodarze ziemię zdali do kołchozu musowo, mieli zostawione tylko te parę arów przy zabudowaniach, czyli ogród na jarzyny i kartofli trochę. Zboża na chleb nie było gdzie kupić i chleba nie było w sklepach. Jeżeli się kiedy pojawił w sklepie, to nie wolno było sprzedać ludziom z wioski, tylko traktorzystom. Józka Buczek poszła na swoje pole, które zabrali jej do kołchozu i w nocy zabrała parę snopków żyta, to się dowiedzieli Moskale i zaraz przyszli na drugi dzień, zrobili rewizję i zabrali ją do

więzienia. Był sąd i zasądziła ją na 8 lat ciężkich robót w lagrach na Syberii. Mówiła mi, gdy wróciła po 8 latach, jakie okropne katorgi przeżyła, zdrowie straciła, o głodzie i zimnie musiała pracować.

W naszej wiosce od 1944 r. jak przyszli Moskale i do 1947 roku wójtem w gminie był Ziembowicz Franciszek – Polak. Nie starał się nikomu zło wyrządzić, ale i nikomu nic nie pomógł. Bał się bardzo obrazić Moskali i co Moskale powiedzieli, to Ziembowicz to wypełniał. Bardzo bolesne to było dla nas Polaków, gdy na zebraniach wykrzykiwał: „-Nie chcecie dać pożyczki, czekacie na Polskę! Nigdy Polski już nie zobaczycie!”. Jak ludzie wyszli z tego zebrania to płakali, że Polak tak potrafi serce zranić Polakowi. Nie dość tego, że wróg nas gnębi, że jesteśmy przygnębieni uciśnieni, to jeszcze brat bratu tak potrafi dokuczyć. Na drugi tydzień telefon w gminie się popsuł i pan Ziembowicz przyszedł do naszej kancelarii podzwonić. My z koleżanką moją kasjerką mówimy do pana Ziembowicza: „- Cóż to wam się stało? - Czyście już ze wszystkim o Bogu zapomnieli? - Ludzie, gdy wyszli z tego zebrania, to pluli na was, mówili „zdrajca”. Po co wam było tak mówić. Gdyby Moskal te słowa mówił, to nas by tak nie bolało. Tak się nie ważcie więcej mówić!”

W 1947 roku Moskale zrobili zebranie i na wójta gminy wybrali Piwowara Władysława, a Ziembowicza Franciszka wybrali „głową” kołhospu. Kołhosp nazywał się „33 ricza Żołotnia”, a Moskale wybierali samych niedouków takich, żeby się ich bali i żeby im się w niczym nie sprzeciwiali. Ziembowicz początkowo nie umiał nawet po rusku podpisać się, ale Moskałom taki pasował. Piwowar Władysław sam siebie krytykował, że on tej posady nie będzie umiał sprawować, to Moskale mówili mu, że mu pomogą. Takich mądrych ludzi, którzy się rozumieli na polityce, którzy byli wykształceni to oni nie chcieli na „głowę” (dyrektora) kołhospu, ani na wójta gminy w 1947r. kiedy wybrali Ziembowicza na „głowę” kołhospu, to na skład zboża „kładowczykiem” wybrali Dorosz Leona. Dorosz Leon rozumiał się na polityce, był to człowiek mądry, nie mógł się pogodzić z tym kłamstwem i z tą niesprawiedliwością. Ażeby go sprzątnąć z tej pracy, namówił go jeden z pracowników, ażeby wziął kilka worków zboża i zawiózł do Sambora sprzedać, a pieniędzmi się podzielił. Moskale go złapali, bo wiedzieli o tej sprawie i zasądziła Dorosza Leona na 15 lat więzienia. Siedział w więzieniu 4 lata. Jego siostrę Kaśkę Miśniak za tak zwane „korkulstwo” zasądziła na karę więzienia 8 lat i prokurator powiedział, że po jej

zeznaniu i śledztwie mają ją zabić, a że był Mandziak T. znajomy z prokuratorem i tak się starał, że ją wypuścili. Była bardzo zniszczona, „z głodowana” (wygłodzona), nogi popuchły, nie do poznania, tak wyniszczona.

W tym samym roku zasądziła na 15 lat Zdziobek Władysława. Był pracownikiem w kołchozie, miał 2 konie i furę i jeździł nimi i pracował końmi. Musiał wyrobić normę, którą mu przydzielili. Koniom nie dawali paszy tyle co się należy, konie głodne chodziły i pozdychały z głodu, a Zdziobka zasądziła. W domu została żona i 5 dzieci na Opatrzność Boską. Tak też za konie zasądziła Petryka Lecha – był furmanem w kołchozie i za konie dostał 4 lata więzienia. Władek Buczek był zasądzony za konie na 4 lata. Czuryło Franka za konia, że się w nocy w gnojówce utopił sadzili i zasadzili go na 4 lata. Koń był na kołchozowej stajni w nocy, a Czuryło w domu. Mateusz Wioncek też był furmanem i koń mu zdechł z głodu i też go zasądziła na 4 lata. Takie to były okropne czasy. Nie było do kogo poskarżyć się, ani przed kim usprawiedliwić.

Dyrektor „masłozawodu” – mleczarni, mówił nam, tj. mnie i mojej kasjerce, żebyśmy unikały uczestkowego i Moskali NHB, żebyśmy nigdy z nimi nie starały się rozmawiać, bo oni z niczego mogą nas pozamykać. Dyrektor Karotniuk, nigdy nic nam nie mówił, że chodzimy do kościoła. Opowiadał nam, jak Bóg go skarał zaraz na miejscu za popełniony grzech. Kiedy w 1946 r. Moskale jeździli po wioskach ukraińskich i łapali banderowców, on jeszcze był „wojennym”, wzięli go do pomocy. Gdy jechali przez Mościska, Trzcieniec i Szyhyni to stała figurka Matki Boskiej i jeden NHB kazał mu strzelić w tę figurkę i on strzelił w rękę Matki Boskiej. Gdy wracali z tej obławy, wstąpili do jadłodajni na obiad. Karotniuk miał takie wyrzuty sumienia, że do nich się nie odzywał, zwiesił głowę na karabin i niechcący ręką pociągnął za spust i strzelił sobie w oko i oko wybił. Trzy miesiące leżał w szpitalu, oko mu wyjęli i był ślepy na 1 oko. Mówił, że tak Pan Bóg go ukarał. Karotniuk pracował do 1948 roku jako dyrektor mleczarni

W 1948 roku dano nam dyrektora Moskala Aułowa. Był to bardzo niedobry Moskal. NHB brali go do pomocy łapać banderów po wioskach a to było bardzo niebezpieczne, bo banderowcy też zabijali Moskali, którzy ich chcieli łapać. Aułow zmuszał nas, ażebyśmy się z kasjerką zapisały do komsomołu. Powiedziałyśmy mu, że pracę mu zostawimy, a do komsomołu w żaden sposób się nie zapiszemy, bo wierzymy w Boga. Aułow ze złości rozkazał nam iść po wioskach i wypłacać ludziom za mleko, które zdali do mleczarni. Bałyśmy się

bardzo banderów, ale mleczarze, którzy przywozili mleko do mleczarni, mówili nam, żebyśmy się nie bały, bo bandery wiedzą, że wy nie komsomołki i nic wam nie zrobią. W kilku wioskach wyplacaliśmy, a gdy przyszliśmy do Hańkowic do mleczarza wyplacać, to mleczarz powiedział nam, że w stodole są ci banderzy i szybko nas wyprowadził na drogę i powiedział byśmy się nie zatrzymywały i poszły do domu. W tym dniu banderowcy zastrzelili agenta, który chodził po wioskach, aby ludzie zdawali mleko. W niedzielę po mszy św. ksiądz Świdnicki zawołał mnie do zakrystii i nakazał mi, żebym więcej nie szła po wiosce, bo to bardzo niebezpiecznie. Powiedział: „- Życie ważniejsze niż praca. Bóg cię strzeże, ale zuchwałym nie trzeba być.” Ksiądz Świdnicki często przyjeżdżał do nas do domu i ja mu pokazywałam według jakiego programu uczyć dzieci. Ksiądz był bardzo zadowolony, tak że czasem ze wzruszenia to mu łzy z oczu spływały. Dyrektor mleczarni Aułow bał się banderowców i wyjechał do Rosji.

Do mleczarni przysłano na dyrektora Pieskiszewa – Moskala. On też musiał jeździć na tzw. obławę banderowców. Banderowcy 3 razy pisali do niego informację, żeby nie przyjeżdżał do ich wioski, bo go zabiją. Pieskiszew jeździł do Złotkowic, bo tam jeszcze ludzie się nie zapisali do kołchozu, więc jeździł z NHB organizować kołchoz. Po tygodniu go zabili. Zadzwoił wójt ze Złotkowic, że dyrektor mleczarni leży koło sterty zabity w Złotkowicach. To się działo w 1949 r. Każdego dnia przywozili cały wóz trupów do Krukienic i tam banderowców chowano w jednej jamie, a Moskali chowali poniżej domu kultury. W mleczarni dyrektora zastępował inspektor mleczarni. Nie rozumiał się na tej robocie, pomagałyśmy mu i on nam nie zabraniał chodzić do kościoła.

W 1949 roku do 1-ej Komunii Świętej było bardzo dużo dzieci. Msza św. była odprawiana w pnikuckim kościele. Ksiądz Świdnicki był bardzo zadowolony. Każdego roku naukę religii dla dzieci prowadziłam od 1-go maja do 15 sierpnia. Z Krukienic przychodzili do mnie do domu i ja ich w domu uczyłam, bo ich nie było dużo, chodziło po troje – czworo dzieci. Dzieci bardzo lubiłam i najszcześniejsza dla mnie była chwila, gdy uczyłam dzieci religii. W niedzielę po mszy św. to 3-4 godziny, a w dni powszechne to 2 -2,5 godziny, a dzieci mówiły, że jeszcze chcą słuchać. Na razie nikt nas nie prześladował – „głową” kołchozu był Polak, wójtem też Polak to byłam bezpieczna.

Do kołchozu ludzie chodzili codziennie, nie wolno było się spóźnić, bo za spóźnienie 15 minut to sadzili. Praca w kołchozie była bardzo ciężka, a za nią

bardzo mało płacili. Chleba w sklepach nie było, a jak przywieźli, to nakazywali, żeby sprzedawać tylko traktorzystom, a kołchoźnicy to musieli się zaspokoić tym, co mieli w domu, albo tym co sobie w nocy ukradli. Stalinowskie lata to były Golgotą dla nas ludzi. Chleba nie było w sklepach, w domu nie było z czego upiec, bo nie mieli ludzie mąki i w sklepach nie było w ogóle ani mąki, ani żadnej kaszy, żywności nie było, ludzie bardzo głodowali. Na pola, które ludziom zabrali do kołchozu, ludzie szli nocą i troszkę ukradli – to zboże brali do worka i rękoma w worku tarli, a z tego ziarna mełli na żarnach i siali. Krupe na kasze, a mąkę na placki. Chleba już nie było z czego upiec. W nocy chodzili na buraki cukrowe, gotowali i tą wodą słodzili kawę lub herbatę. Proszku do prania nie było i mydła w ogóle żadnego nie było. Ludzie sami kombinowali i robili mydło, bo się wszy rzuciły na ludzi. Butów ani mesztów nie było nie było w sklepach, ludzie nosili drewniaki. Pastę na te drewniaki ludzie robili w ten sposób, że palili słomę owsianą i do tego popiołu dodawali mleka i robili taką pastę. Na każdym budynku urzędowym był wywieszony Stalin i był napis: „Stalin – nasze słońce!”, a przechodzący ludzie gdy to czytali, to mówili jeden do drugiego: „Stalin – nasz morderca.” – oczywiście mówili tak, żeby Moskale nie słyszeli, bo za marne słowo powiedziane nie tak, jak oni chcieli, to sądzili niemożliwie. W szkole w Pnikucie ktoś z uczniów odwrócił portret Stalina do góry nogami, to nauczyciel każdego ucznia brał i bił po 5 kije na rękę i głowę do ściany tłukł, ażeby się przyznał, kto to zrobił. Wszyscy dostali, a żaden nie powiedział nic, bo mówili, że nie widzieli kto to zrobił. Na drugi dzień rodzice się zebrali i poszli do szkoły mówiąc, że tak strasznie dzieci nie można karać, to i rodziców ukarali, nałożyli na nich „sztraf” (grzywnę). W szkole po 100 razy dzieci musiały śpiewać: „Stalin – to słońce, to jasność ...”. Bały się dzieci bo gdy nawet uczeń popatrzył się nie tak, to nauczyciel go brał do kancelarii i tak go męczył, co on tym chciał powiedzieć. W radio na 1 minutę śpiewali po 10 razy „Stalin ...”, aż zbrzydło się słuchać. Ludzie wyłączali radia, aby tej propagandy nie słuchać. Zrobili zebranie w domu kultury i tak tych ludzi słowami poniewierali a ludzie im mówią: „Pola żeście nam odebrali, chleba nie ma w sklepach, ludzie głodują.” Na tych co się odezwali, naskoczyli i ich na policję oddali, a tam musieli odsiedzieć 15 tzw. „sutek” (dób, dni). Moskale powiedzieli, że ci co się odezwali, to są zdrajcy narodu. Na tych zebraniach to zawsze krzyczeli, że ludzie nie chcą płacić pożyczki, że my Polacy to Mikołajczyki i różnie nas wyzywali. Ludzie bali się odzywać, bo widzieli co ich za to

czeka. Ksiądz Świdnicki po tych zebraniach przyjechał do mnie i pytał, czy byłam na zebraniu. Powiedziałam że nie chodzę na zebrania. Ksiądz mi mówi, żebym w ogóle na żadne zebrania nie chodziła i unikała spotkań z nimi, bo ja uczę dzieci, żeby się coś nie dowiedzieli. Mówił też, że tu są takie straszne prześladowania i żeby gorąco Boga prosić, by się nad nami zlitował. Opowiadał mi, co Stalin wyrabia z ludźmi na Kremlu, jakie morderstwa popełnia. W domu słuchaliśmy w nocy radia Wolna Europa, tam zawsze podtrzymywali nas na duchu i pocieszali. W 951 roku już zaczęli mówić w radiu Wolna Europa że ma być repatriacja Polaków do Polski z terenów Małopolski. Wkrótce to ucichło i już nie wierzyliśmy w to. Dalej głód męczył ludzi. W sklepach można było kupić wodę kolońską i wódkę, a produktów spożywczych w ogóle nie było. W Krukienicach ogłosili, że mają przywieźć chleb, że będzie można kupić każdemu, to ludzie z naszej wioski szli z wieczora i stawali w kolejce całą noc, czekali do rana i rano kto był bliżej kolejki to dostał ten chleb kilowy, nim doszedł do domu, to pół bochenka zjadł, bo to 5 km drogi do naszej wioski było. To był ten chleb tylko przez 3 dni, później już nie sprzedawali. W 1951 r. już pojawiał się chleb w sklepach raz na dzień i to w małej ilości, tak że nie wystarczało dla wszystkich., tylko jedna dziesiąta część wioski mogła kupić jeden bochenek chleba na dwa dni.

W 1950-ym – 1951-ym –1952 roku takiej pożyczki od ludzi wymagali, że to było tak okrutne, że nikt by nie uwierzył tych tortur, co ci Moskale z ludźmi wyrabiali. Kto nie zdał pożyczki to go wzywali do gminy i tam mówili, że im się ich władza nie podoba, żeby się na to podpisali i oni ich wywiozą na Sybir. Naród tak był przestraszony, że sami nie jedli, a jeżeli mieli jaki kawałek masła w domu albo jaja, to wszystko wieźli do miasta, aby zrobić pieniądze na pożyczkę i im oddać. Ludzie pędzili na robotę do kołchozu przymusowo na wskazaną godzinę nie wolno było się spóźnić. Kto się spóźnił 15 minut, to tego dnia mu nie zaliczyli. Byli „nastawnicy” pilnowali, żeby ludzie przy pracy dobrze pracowali, a gdy ktoś stanął, aby odpocząć, to zaraz straszili, że mu nie zaliczą tego dnia. Gorzej pracowali niż niewolnicy, a za pracę bardzo mało wypłacali. Nastawnicy byli przyjezdni z Rosji – Moskale. Jedna kobieta wygadała się że ludzie są tak jak niewolnicy, że gdy są przy pracy, to nie wolno im odpocząć, że do pracy przychodzą głodni i słabi, to ją wezwali do kancelarii kołchozu i powiedzieli, że jeżeli jej się nie podoba pracować, to wywiozą ją na Sybir i tam

będzie zadowolona. Nie było komu się pożalić, każdy czekał niedzieli, by iść do kościoła i tam tylko Bogu się pożalić.

Zaczęły się prześladowania księży. Księża tylko przeczytali Ewangelię i odprawili mszę św. a kazań nie mówili, bo ich tak atakowali, że czy to prawda, czy nie to ich więzili. Uwięzili z Mościsk księdza Edwarda, z Bolic księdza Stanisława, z Nowego Miasta księdza Dziadka i bardzo wielu z sąsiednich parafii. Bez zarzutów ich więzili. W tej ciężkiej niewoli będziemy musieli poumierać, wszyscy sadzili tu nam się już nic nie zmieni.

W 1952 r. wyszłam za mąż. Mąż mój był wielkim patriotą Polski, wiele wycierpiał od Moskali. Ludzie widzieli, że był sprawiedliwy i dla biednych miłosierny i wybrali go za sklepikarza. Pracował w sklepie przez 12 lat, starał się dla ludzi o produkty. Moskale go bardzo prześladowali, a on im się nie dawał. Ja byłam w strachu, że nas wywiozą na Sybir, bo nam wygrazali. Ja uczyłam dzieci do 1-ej Komunii św. każdego roku. Z tej nauki religii taka byłam zadowolona, dzieci bardzo lubiłam, a one mnie lubiły. Byłam zawsze w strachu, że mogą nas Moskale przyłapać, ale Opatrzność Boska nie dopuściła do tego, aby nam się krzywda stała. W 1953 roku zadzwonili do pracy, że Stalin umarł – ja dalej pracowałam jako księgowa. Moja kasjerka mówi, że teraz na pewno nam życie się poprawi. Ktokolwiek za niego będzie, to już taki łotr nie będzie jak Stalin. Po 1 godzinie przyjechał do nas ksiądz Michał Świdnicki i mówi nam, że Stalin był takim wrogiem Kościoła, a po śmierci dali Moskale rozkaz, by w każdym kościele ksiądz odprawił 2 msze św. za jego duszę. Do księdza do Myślatycz też zadzwonili, żeby odprawił 2 msze św. To było zadziwiające. Za dwa dni przyszedł rozkaz z urzędu z Mościsk, żeby wszystkie portrety Stalina były zniszczone, więc w szkole, w urzędach, po słupach telegraficznych wszędzie Moskale chodzili i je niszczyli. Na miejsce Stalina wybrali Malinkowa. Nic się nie zmieniło, jakie były prześladowania, takie i pozostały.

W 1955 r. ogłosili, że będzie repatriacja Polaków z Małopolski do Polski. Ludzie się nic nie zastanawiali, co ich w Polsce czeka, czy będą mieć gdzie mieszkać i jakie ich tam czeka życie. Wszyscy mówili, że gorzej niż tu, już tam nie będzie. Gospodarze sprzedawali swój inwentarz za byle co a domy, w ogóle całe zabudowania zostawiali bez sprzedaży. Mówili, że jak się zmieni, to wrócą na swoje miejsca. Było to bardzo smutne. Z naszej wioski wyjechało trzy czwarte rodzin, a tylko jedna czwarta została. Moja koleżanka, która pracowała ze mną

jako kasjerka , też zostawiła wszystko, całe zabudowania nowe i wyjechała do Polski w 1957 roku.

W 1955 i 1956 roku było bardzo dużo dzieci do 1-ej Komunii św. – od II-ej klasy do IV-ej. Ci, co wyjeżdżali, to wszyscy chcieli, by ich dzieci tu się uczyły religii, bo mówili, że tu się nauczą, bo to najważniejsze, a tam nie wiadomo gdzie ich los zaprowadzi.

Do 1957 roku „głową” kołchospu był Polak i nie prześladował mnie, a wiedział, że ja uczę religii, ale o tym Moskalom nie mówił. Mój mąż koniecznie chciał wyjechać do Polski, a ja powiedziałam, że w żadnym wypadku nie pojedę, bo muszę tu pozostać. Miałam wielkie nieprzyjemności z tego powodu, ale pamiętałam słowa księdza Ablewicza, że ja powinnam tu pozostać i nikomu tego nie mówiłam, ani ojcu swojemu, ani też mężowi. Pozostawiłam ten rozkaz księdza Ablewicza jako testament w swoim sercu i według niego postępowałam. W 1954 roku umarł mi mój ojciec, którego bardzo lubiłam i też był to dla mnie wielki wstrząs w życiu. Te wyjazdy do Polski też były dla mnie bardzo smutne, bo zawsze żyłam nadzieją, że Lwów będzie należał do Polski, bo przecież jego dzieci broniły go od bolszewików. Ileż dzieci (Orląt Lwowskich) poległo w tej bolszewickiej wojnie. Lwów był wywalczony krwią polskich dzieci. Niestety, Polacy zostawiali wszystko, aby tylko ująć z tej okrutnej niewoli, z tej pracy w kołchospie całkiem nieopłacalnej. Mąż mnie przekonywał, że tu żyjemy zawsze w strachu, że w każdej chwili mogą nas wywieźć, że nasze dzieci jak dorosną, to nie będą mogły już wyjechać do Polski, bo granicę zamkną. Odpowiedziałam, że nasze dzieci będą w Polsce, bo dla Boga granic nie ma, Bóg jest Wszechmocny i nie pozwoli nam krzywdy zrobić. Ksiądz Michał Świdnicki jak się dowiedział, że ja nie wyjadę, był bardzo zadowolony. Ja uczyłam dzieci bez przerwy. W 1957 roku też było dużo dzieci, bo jeszcze ci wszyscy co chcieli wyjechać, nie wyjechali.

Mleczarnię gdzie pracowałam jako księgowa przenieśli do Sambora i chcieli żebym wyjechała do Sambora. Było mi to dla mnie niewygodne i główny lekarz szpitala w Pnikucie zabrał mnie do siebie do szpitala za główną księgową. Pracy miałam bardzo dużo, ale zawsze znalazłam czas na naukę religii i przygotowanie dzieci do 1-ej Komunii św. W naszej wiosce był kołchosp do 1957 roku. W 1957 roku złączyli sąsiednią wioskę Buchowice z naszym kołchospem i zorganizowali radchosp. „Głowa” radchospu Ziembowicz poszedł na pensję (emeryturę).

Przysłali Moskala Jamczyckiego. On ludzi nie prześladował, ale był pijakiem i wkrótce go wyrzucili. Przysłali na jego miejsce Moskala o nazwisku Kuczechow. Ten tylko starał się, by wykorzystać radchosp, nakradł pieniędzy i wyjechał. Jego ludzie nie interesowali, jak oni żyją. Nie robił krzywdy, nie prześladował ludzi.

W 1956 roku, 28 kwietnia zmarł ksiądz proboszcz parafii Myślatycze. Dzień przed jego śmiercią byłem z nim na rozmowie w Pnikucie. Był bardzo zadowolony, że tyle dzieci uczy się do 1-ej Komunii św. 28 kwietnia pojechał do szpitala na Trzcieniec, aby zbadali mu ciśnienie. Siostra dała mu zastrzyk w żyłę i niechcący powietrze wpuściła do żyły i w rękach jej zmarł. Gospodyni, która była z nim mówiła, że po zastrzyku momentalnie zmarł. Był to dla nas wszystkich okropny ból serca. Z naszej parafii wszyscy pojechali na pogrzeb. Bardzo dużo ludzi było na pogrzebie, tak że w kościele się nie pomieścili. W Mościskach pracował ksiądz Edward Saletnik. Zwróciłam się do księdza Saletnika, czy mogę przyprowadzić dzieci do 1-ej spowiedzi i Komunii św. Ksiądz Saletnik o mnie wszystko wiedział i był bardzo zadowolony, że tyle dzieci będzie do 1-ej Komunii św. – dzieci było 53. Ksiądz Saletnik opowiedział mi, że był aresztowany, że przyszli po niego na plebanię Moskale komuniści i powiedzieli, że ma bardzo dużo książek i że za to go aresztują. Zabrali księdza i posadzili go za to na 3 lata więzienia. Początkowo było mu bardzo ciężko, ale później pracował na lżejszej robocie – robił pudełka z kartonu. Ksiądz Saletnik żył bardzo ubogo, nie miał produktów do życia, a był na diecie, więc powiedziałam mężowi, że ksiądz jest taki biedny. Mąż pracował w sklepie z produktami spożywczymi i zabezpieczył księdza Saletnika we wszystkie produkty. Ksiądz Saletnik powiedział do mnie: „Bóg cię do mnie posłał”. Ksiądz Saletnik nie przepytывał dzieci, tylko wyspowiadał i Komunii udzielił i kazał mi zabrać wszystkie dzieci do Obrazu Matki Boskiej i głośno przeprowadzić ślubowanie, że do 18-go roku życia nie będą pić alkoholu i nie będą palić papierosów. Ksiądz Saletnik prosił tylko, żebym nie robiła sobie z dziećmi zdjęcia, żeby dzieci robiły sobie zdjęcia tylko pojedyncze. Ks. Saletnik był bardzo prześladowany od Moskali. Na każdą mszę św. do kościoła przychodzili partyjni i co ksiądz mówił na kazaniu, to wszystko donosili do urzędu Moskalom. Ksiądz mówił krótko i tylko zgodnie z Ewangelią. Po śmierci Stalina wybrali komuniści na „głowę” państwa Malinkowa, ale on długo nie rządził tą komuną, tylko dwa i pół roku. Na miejsce Malinkowa wybrali Chruszczowa, a ten panował około 10 lat. Dobił

tą Rosję, doprowadził do strasznej nędzy i ubóstwa. W naszej wiosce na „głowę” radchospu mianowali partyjniaka Azonowa. Sam podawał się za ruskiego komunistę, a w rzeczywistości był Żydem komunistą. Miał księgowego komunistę Ukraińca – byli to dokumentni szatani. Najpierw zmuszali wieśniaków do zapisania się do partii. Później gdy już mieli ich zapisanych, zaczęli wymagać od nich potwornych rzeczy. Najpierw, gdy się nie chcieli zapisać do partii to mówili, że wyrzucą ich z pracy. A gdy się już durni zapisali, to im dawali reguły (zasady), aby do kościoła nie chodzili, żeby przydrożne figury rozbijali – to takie dla nas katolików było bolesne. Szatan panował z tymi partyjniakami wyraźnie. Był krzyż żelazny, który stał na ogródku mleczarni, był pięknie ogrodzony, sadziliśmy koło niego kwiaty. Gdy szliśmy do pracy, zauważyliśmy, że krzyża nie ma, w nocy został zabrany i wyniesiony. Pracownicy mleczarni zaczęli szukać po wiosce w tajemnicy i znaleźli. Krzyż był rzucony w polu w życie. Ten partyjny, który to zrobił pędził wódkę i jego córka tak się poparzyła, że lekarze nie mogli jej uratować. On sam stwierdził, że to kara Boża, bo on ten krzyż zwał i wrzucił w żyto. Tak go sumienie dręczyło, że legitymację partyjną wyrzucił im na stół, a sam wyjechał do Polski. Myślał, że przed tą zbrodnią ucieknie. Za miesiąc czasu - przy drodze jadąc z Krukienic do Pnikuta, na górze stała figura Świętej Rodziny. Komitet partii dał rozkaz partyjnemu księgowemu, ażeby tą kapliczkę Świętej Rodziny rozwalił. On chciał się pokazać, że jest tak niewierzący, że może to zrobić i rozwalił kapliczkę, i nogami kopał tę figurę. Nazywał się Zworski. Ludzie to widzieli, zwracali mu uwagę, po co to robi. Po 3 miesiącach ten Zworski zachorował, poszedł do szpitala, bo dostał gangrenę. Najpierw odcięli mu jedną nogę, potem drugą i też to była kara Boska, bo zmarł po 3 miesiącach. Byli tacy partyjni, co się bali w ten sposób Boga obrażać i nie posłuchali ich. Z pnikuckiego radchospu księgowy Seredziak we wsi Strzelczyska też rozwalił kapliczkę wrzucił ją do wody, a jego nikt nie zmuszał żeby to uczynił. On sam chciał pokazać jaki on partyjny, nie boi się nikogo i niczego. Po 5 miesiącach zachorował i w szpitalu odcięli mu obie nogi i w ciągu 2 dni zmarł. Takich przypadków było bardzo dużo, można by książkę napisać. Ten Seredziak to był bardzo niedobry człowiek. Nienawidził Polaków, dokuczał ludziom, a mojej rodzinie to już najgorzej. Brał dyrektora radchospu i z nim przychodził do nas i mówił, jak to tak może być, że mąż pracuje w sklepie i nie był komsomolcem, a teraz też nie chce stanowczo być partyjnym i ja, jako jego żona też jestem księgową, a chodzę do kościoła i nie jestem partyjna

i jeszcze mamy ogród. Powiedział, że obydwaj z dyrektorem się tym zajmą - tak nam dokuczali. Krowę nie dawali paść, nakładali 4 razy więcej podatku. Ogród był zagrodzony, to oni wysłali traktory, żeby traktorem rozwalić parkan, a ogród zaorali i zasiali dla radchospu. Nam zostawili tylko 2 ary. Matka mojego męża bardzo płakała i mówiła, że tyle pola nam zabrali do kołchozu, a teraz jeszcze ogród, z czego będziemy żyć. Kiedy wieczorem wróciliśmy z mężem z pracy, to też nam było bardzo przykro, że tak nas niszczą. Ale pomyślałam, że Bóg to wszystko widzi i nas nie opuści. Mąż chciał jechać do Lwowa na nich do władz, ażeby ich ukarać. Ja męża powstrzymałam, powiedziałam, że na pewno ci komuniści coś wiedzą, że ja dzieci uczę religii, tylko mnie jeszcze nie złapali jak ja ich uczę, i nie mają podstawy osobiście mnie ukarać. Ja uczyłam dzieci w kościele, jak ludzie szli na nieszpory, to ja i dzieci szli osobno nie gromadą. Zbieraliśmy się w zakrystii i kiedy ludzie wyszli, to zamykaliśmy kościół i spokojnie uczyłam dzieci. W dni powszednie to samym wieczorem szliśmy do kapliczki i niby majówkę odprawiamy, a to tylko zaśpiewaliśmy litanie. Jedno dziecko na zewnątrz było i patrzyło, czy kto nie idzie. Ja ich spokojnie uczyłam, a gdy się już nauczyli przez lato, to na 15 sierpnia prowadziłam dzieci już do Mościsk. W Mościskach ksiądz Saletnik Edward spowiadał i komunię św. udzielał. W 1967 r. ksiądz Saletnik zachorował i w krótkim czasie 12 stycznia zmarł. To był dla nas okrutny ból. Sześć dni modliliśmy się przy jego zmarłym ciele. 18 stycznia 1967 r. odbył się pogrzeb, na który przyjechał ksiądz z Katedry Lwowskiej i z Sambora ks. Kazimierz Mączyński. Sam pochodził z Litwy z Rygi. Ks. Kazimierz miał kazanie do ludzi w kościele i prosił żebyśmy nie płakali, bo Bóg tyle narodu nie opuści. Mówił byśmy się modlili, bo żyjemy w bardzo trudnych czasach, ale bądźmy odważni. Ksiądz z Katedry Lwowskiej miał przemówienie na cmentarzu. Mówił tak: „ – Nie bójcie się komunistów! Swojej wiary brońcie! Nie dajcie się, by nas gnębili! Stawajcie mężnie w obronie swojej wiary!” Z cmentarza poszliśmy do kościoła. Było bardzo dużo ludzi. Ludzie bardzo gorąco modlili się, ażeby Bóg nad nami się zlitował i dał nam kapłana. Ja po tym pogrzebie nabrałam takiej odwagi, że gdyby jakiś komunista mówił mi coś na wiarę albo na kościół, to bym mu tak powiedziała, że już by do mnie nigdy na wiarę nic nie mówił. Do miesiąca czasu ksiądz Kazimierz Mączyński zaczął przyjeżdżać do Mościsk do kościoła odprawiać msze św., w pierwsze piątki przyjeżdżał spowiadać. Kazania piękne głosił. Kazania mówił całą godzinę, a ludzie tak zachwyceni byli, że zdawało się, że 10 minut. Księdza Kazimierza

bardzo prześladowali Moskale. Wystawiali księdza na karykaturę. Przychodzili partyjni i nagrywali kazania. Wzywali księdza do rajkomu, tzn. do urzędu gminnego, ale on się ich nie bał, znał Konstytucję i Prawo i mówił, że oni są biedne niedouki, a diabeł nimi rządzi. Mnie i moją rodzinę dalej tak prześladowali. Przyszło z radchospu do nas zawiadomienie, żeby zapłacić za pasienie krów, za 1 krowę 90 rubli wtedy, kiedy ludzie płacili po 10 rubli za 1 krowę. Ja z mężem zapłaciliśmy 90 rubli za 1 krowę. Dyrektor Azopow był strasznie na nas mściwy, bo ktoś mu powiedział, że ja uczę dzieci, ale nie wiedział gdzie i kiedy. Wysłał swojego księgowego na pole, żeby zobaczył, czy ja tam nie uczę. Księgowy zobaczył, że dzieci siedzą razem, przybiegł do dzieci i zapytał, czy ja z nimi nie pasę krów. Dzieci powiedziały, że mnie nie było tylko moja córka pasie krowy z nimi. On zapytał, która to jest. Córka miała 11 lat, a on wziął ją za rękę i pasem tak dziecko zbił, że była cała w sińcach. Przyszłam z pracy z mężem i mąż mówi, że tego już za wiele. Ja nazajutrz poszłam do ich kancelarii i pytam, z jakiego powodu on Sereziak tak zbił moją córkę. On mi mówi: - Bo ty dzieci uczysz religii. Pytam: - Kto ci to mówił? On na to: - Moja sekretarka mi mówiła. Że już 20 lat temu ty ją uczyłaś. Ja odpowiedziałam: - Szkoda że ciebie nie uczyłam, że wyrosłeś na takiego dzikiego diabła. Ludziom nie dajesz żyć, kapliczki i figury ze swoim kolektywem strącasz. Bóg cię skara (ukarze) na tym świecie! Wtedy dyrektor Azopow zaczął mnie dopiero na dobre prześladować. Nie da się tego opisać, tych prześladowań okrutnych. Chodził do mojego głównego lekarza, żeby mnie zwolnił, bo ja uczę dzieci. Lekarz mu odpowiedział, że w czasie pracy w biurze ja tego nie robię, a poza godzinami pracy jego nie interesuje, czym ja się zajmuję. On mnie w żadnym razie nie zwolni, bo ja bardzo dobrze pracuję. Azopow wiedział, że w pracy mi nie przeszkodzi, to zwrócił się do urzędu rejonowego do tych głównych partyjnych. Ci zaczęli mnie wzywać i dopytywać się, dlaczego on taki dla mnie niedobry. Odpowiedziałam, ażeby sami jego o to zapytali. Partyjni nie mogli mi nic uczynić, bo ja nie partyjna i do mnie nie mają prawa, tylko kazali do Azopa, żeby mnie podał do sądu a sąd będzie wiedział, że ja jestem winna, to mnie zasądzą. Po 2 tygodniach prokurator zawołał mego męża i powiedział mu, że na mnie są dokumenty w sadzie i jeżeli dojdzie do sadu, to mnie zasądzą od 3 do 5 lat. Mąż mój starał się, żeby nie doszło do sądu. Ksiądz Kazimierz też bardzo mi w tym pomógł. Chodził do rejonowego urzędu prosić za mną i do sądu, a do męża mówił, żeby mąż tylko z prokuratorem załatwiał sprawę. Bóg dał, że sprawę

załatwili bez sądu. Azopow tak czekał na mój sąd, aż go Bóg go powołał na sąd do siebie. Pewnego dnia Azopow zabrał traktorzystę z traktorem i kazał traktorzyście zburzyć traktorem figurę. Figura stała przy drodze, na miejscu jak się jedzie z Kryswic na Zakościele, na pagórku. Traktorzysta powiedział, że on tego nie będzie robić, że on się boi Boga. Wtedy Azopow wziął traktor i zburzył figurę i powiedział, że jak Bóg jest, to niech go tu w tym miejscu ukara. Jak to uczynił, to mówił przed swoimi pracownikami, że ma jakiś strach. Starał się potajemnie wyjechać ze swoją sekretarką do Jerozolimy. Przez rok czasu paszporty wyrabiał i gdy paszporty i wszystko wyrobił potajemnie, kazał swemu szoferowi jechać z nim załatwiać jeszcze jakieś sprawy do Mościsk. Szofer go wiózł do Mościsk i w tym samym miejscu, gdzie Azopow rozwalił kapliczkę i figurę, maszyna (samochód) najechała na jego maszynę i przełamała mu kręgosłup, a szoferowi, który siedział z nim nic się nie stało. Azopowa zabrali do szpitala i on do wszystkich lekarzy mówił, że jest Bóg, bo na tym miejscu, gdzie rozwalił figurę, Bóg go ukarał. Po 3 dniach Azopow zmarł. Po jego śmierci milicja otworzyła sejf i pokazała paszporty gotowe do wyjazdu do Jerozolimy. Myślał, że przed Bogiem ucieknie. Niestety, nie udało się mu. Bóg pokazał wszystkim, że jest i w tym miejscu, tak jak Azopow mówił Bóg go ukarał. Wszystkimi komunistami ten wypadek wstrząsnął, tak że zamilczeli prześladować nas za kościół. Po śmierci Azopowa przystali na dyrektora radchospu komunistę Tołdrycza. Ten mnie nie znał i nikt mu o mnie nie opowiedział. Pewnego razu w kościele ksiądz Kazimierz poprosił mnie do zakrystii i pytał, czy przestali mnie prześladować. Odpowiedziałam, że po śmierci Azopowa dali mi spokój. Wtedy ksiądz dał mi 100 pytań i 100 odpowiedzi i prosił, ażebym to pisała ruskimi literami a słowa były polskie. To była wielka praca tych 100 pytań i 100 odpowiedzi – to zajęło mi cały zeszyt. Ja każdego dnia wieczorami siedziałam i przepisywałam. Każdemu dziecku dawałam i kazałam się uczyć. Starego Testamentu i Nowego, to ja już uczyłam, gdzie tylko mogłam: w kapliczce, w kościele, na polu, każdego dnia w innym miejscu. Do spowiedzi ja nie prowadziła dzieci grupowo, a każda matka swoje dziecko i oni mi dali spokój, bo nie wiedzieli co to jest. Takich zeszytów to ja napisałam 34 sztuki, dla każdego dziecka.

Do Mościsk ludzie chodzili do kościoła ze wszystkich wiosek: z Krukienic, z Pnikuta, Radochowic, Złotkowic, Myślatycz, Tułkowic, Trzcieniec, Wolica, Rudniki, Radenice Strzelczyska, Lipniki, Kryswice, Sądowa Wisznia, Jordanówka

i z wielu innych wiosek dostawało się do Mościsk do kościoła. Ludzie czym mogli, to się dostawali – pieszo, furami, autobusami, czym mogli to przybywali, ażeby tylko wysłuchać Słowa Bożego i uczestniczyć we mszy św. W kościele było bardzo ciasno, nie można było nawet uklęknąć. W niedzielę ludzie się nie mieścili w kościele, musieli stać na dworze. W powszednie dni było mniej ludzi, ksiądz przyjeżdżał i w dni powszednie. Ksiądz uczył młodzież śpiewu. My z Pnikuta dostawaliśmy się autobusami – trudno było, ale zawsze wcisnęliśmy się, a z Mościsk, to jak nie było autobusów, to szliśmy pieszo do domu. Na pasterkę na godzinę 24 w nocy autobusów nie było, to z każdej wioski wszyscy ludzie szli na piechotę. Wracaliśmy z pasterki i całą drogę kolędowaliśmy. Bardzo cieszyliśmy się, że choć ten jeden kościół mamy. We Wielkanoc, na godzinę 4-tą rano też szliśmy na piechotę i szliśmy bardzo szybko, bo baliśmy się, żeby się nie spóźnić. Ksiądz Kazimierz Mączyński lubił dyscyplinę. Był on bardzo prześladowany przez Moskali, którzy w różny sposób mu dokuczali, robili z niego karykaturę (ośmieszali go), myśleli, że on się zapeszy, ale nic nie pomogło. Był uczony, mądry, znał Konstytucję i nie chciał się ich bać, bo to byli zacofani komuniści. Kiedy ludzie nie mogli pomieścić się w kościele i stali na dworze i śpiewali, to komuniści wezwali księdza i mówili, że na pewno w Polsce słyszą śpiew ludzi z Mościsk i słyszą jak się ludzie modlą w Mościskach. Ksiądz Kazimierz wtedy prosił ludzi żeby każdy kącik był wypełniony ludźmi i zakrystia i prezbiterium. Dzieci zabrał do głównego ołtarza za balaski, ludzie posunęli się do przodu i drzwi pozamykał kościelny. Ksiądz ogłosił, że kto nie przyjdzie na wyznaczoną godzinę, to drzwi będą zamknięte. Ksiądz Kazimierz obsługiwał Sambor i wszystkie wioski należące do Sambora, we Lwowie odprawiał msze św. w Kościele św. Antoniego i pomagał w Katedrze Lwowskiej. Był bardzo zapracowany, np. pasterkę odprawił w Samborze wieczorem, potem pojechał do Lwowa, a na godzinę 24-tą odprawiał pasterkę w Mościskach. W jednym roku, jak wracał z pasterki ze Lwowa z Kościoła św. Antoniego do Mościsk to we wsi Zostencewo zatrzymali go chuligani. Ksiądz wyszedł z maszyny i mówi, by go puścili, bo śpieszy się na pasterkę. Oni złapali auto i zepchnęli do głębokiego rowu. Ksiądz zostawił auto, a sam pieszo przypędził. Powiedział kościelnemu, że auto we wsi zostało w rowie. Kościelny wraz z chłopakami pojechał na motorze i przywiózł auto. Ksiądz cały spocony przybiegł wpierw i odprawiał pasterkę. Ksiądz był w różny sposób prześladowany, ale zawsze się ze wszystkiego dobrze wywiązał. Kościół cały był odnowiony. Kazał ludziom wszystkie ściany

i sklepienie ciepłą wodą obmyć, bo kościół był 50 lat temu malowany i ściany były bardzo brudne. Kiedy ludzie go obmyli, to kościół był jakby na nowo pomalowany. Tak samo zrobił w kościele Samborskim i we Lwowie w Kościele św. Antoniego.

Bardzo wielkie podatki Moskale nakładali na kościoły, a ludzie starali się na czas podatki spłacić. Im więcej gnębili naród i prześladowali, tym więcej ludzie garnęli się do kościoła. Ludzie zrobili księdzu pokój na strychu kościoła. Ksiądz dbał bardzo o wygląd kościołów, przeprowadzał remonty w każdym kościele. Ja uczyłam dzieci religii i ubierałam też ołtarze w naszym kościele przez wszystkie lata aż moja córka wyrosła i gdy miała 14 lat, to już zbierała kwiaty i pomagała mi ubierać ołtarze. W naszym kościele nie odprawiała się msza św., ale ludzie się sami zbierali, śpiewali pieśni i modlili się, więc kościół zawsze na niedzielę, tzn. ołtarze ubierałyśmy świeżymi kwiatami. Sekretarz partii zauważył, jak moja córka niosła kwiaty do kościoła i doniósł do dyrektora szkoły. Dyrektor szkoły zaczął dokuczać dziewczynce w szkole, ale że ona się dobrze uczyła, to nauczyciele stawali w jej obronie. Dyrektor nakazał, ażeby nauczyciele zaniżyli jej ocenę, ale nauczyciele w Pnikucie jej tego nie zrobili. Gdy jednak poszła do Krukienic, to tamtemu dyrektorowi jak napisał sekretarz partii o mnie i o mojej córce, ten o małe dziecko nie zjadł tak jej dokuczał. Przychodził do klasy brał ją na środek i mówi do dzieci: „- Oto macie między sobą księdza. Nosi kwiaty do kościoła, a mama jej uczy dzieci religii.” Nauczyciele nie zwracali uwagi na to, co dyrektor mówił, bo lubili dziewczynkę i nie dokuczali jej. Ja to wszystko opowiedziałam księdzu Kazimierzowi. Ksiądz powiedział, że teraz jej nic nie zrobią, ale gdy będzie chciała iść na wyższe studia, to mogą jej zaszkodzić. Dziewczyna 4 razy wstępowała i zebrała więcej „batów” niż inni i po konkursie nie przeszła (nie dostała się). Zapytała rektora, co to ma znaczyć, o co chodzi. Rektor jej odpowiedział, że Polacy i Żydzi mają tylko 1% możliwości dostania się na uczelnię medyczną. Było to bardzo bolesne dla mnie i w ogóle dla całej mojej rodziny. Jak zawsze tak i teraz oddałam Bogu te cierpienia i proszę, by nas nie opuszczał. Dzieci do 1-ej Komunii św. uczyłam tak jak w każdym roku, bez przerwy.

W każdej „ustanowi” był spis ludzi, którzy mieli pomagać kołchozowi przy zbieraniu chleba (przy żniwach) i pasz na karmienie krów. W naszym szpitalu też był taki wykaz osób, bo lekarze i medyczni pracownicy i księgowi też musieli

chodzić i pomagać w wyznaczone dni. Do pracy przyjeżdżały samochody i wieźli nas samochodami, a z pracy, szliśmy pieszo. Przechodziliśmy obok Kościoła św. Katarzyny w Myślatyczach, i mówię do swoich szpitalnych dziewcząt, że pójdziemy na mogiłę księdza Michała Świdnickiego. Widok był okropny. Mogiła była podeptana przez krowy. Krowy pały się pod samym kościołem, dach kościoła zawalony, mury poobijane, ogrodzenia kościoła w ogóle nie było. Stałam jak osłupiała. Wtedy zawołała mnie jedna z pracownic, żebym poszła popatrzeć do wnętrza kościoła. Czyścili tam ziarno, bo z kościoła zrobili skład zboża. Ściany poobijane, ołtarzy w ogóle nie było, było tak brudno jak w najgorszym składzie. Poszłam na mogiłę księdza Świdnickiego i tam długo się modliłam. Przyjechałam do domu i powiedziałam mężowi. Mąż zaraz na drugi dzień poszedł do robotników radchospu i zrobił ogrodzenie na grób ks. Michała Świdnickiego.

W Mościskach przed wojną w 1939 r. był piękny duży klasztor. Uczyli tam księża. Kiedy przyszli Moskale w 1940 r., to księża wyjechali, a Moskale zrobili z tego budynku szpital, a z klasztoru zrobili skład różnych nawozów sztucznych i jakiejś soli do nawozów tak, że ten klasztor zniszczyli doszczętnie. Ja pracowałam jako księgowa w Pnikucie w szpitalu, a w 1964 r. pnikucki szpital zabrali do Mościsk. Księgowość też zabrali do Mościsk i musiałam jeździć do pracy do Mościsk. Pewnego dnia główny lekarz zawołał mnie do swojej kancelarii i wiedział o tym, że jestem mocno wierząca i że chodzę do kościoła. Mówi mi, że ma kłopot, bo go z organizacji partyjnej przymuszają, ażeby rozkazał z klasztoru pozdejmować krzyże. Ja mu powiedziałam, że jest Ukraińcem i matka na pewno wychowywała go w duchu Bożym i nie może tego zrobić, bo kara Boża go nie ominie. Wielu strąciło figurę i w krótkim czasie Bóg ich ukarał. Po 2 miesiącach, 13 maja, było to w piątek, przychodzi do mojego biura kucharka i mówi, że krzyż z klasztoru ściągnęli. Zapytałam kto ściągnął. Powiedziała, że żołnierze ściągali, a starszy oficer stał i rozkazywał. Ten starszy oficer do 3 miesięcy dostał obłąkania i jako wariata zabrali go do szpitala i we Lwowie w szpitalu zmarł. Po roku czasu, 13 maja, żona głównego lekarza powiesiła się u siebie w szafie. Powiedziałam do swoich współpracowników, że to prawdziwy cud (znak) Boski, bo 13 maja krzyże ściągali z klasztoru i równo za rok 13 maja żona mu się powiesiła. Takich wypadków było wiele. W klasztorze kazał główny lekarz przymusowo ściany zamurować. Nikt nie chciał, ale 2 mężczyźni zgodziło się. Mężczyźni młodzi i zdrowi. Zaczęli murować tą ścianę

i nie skończyli, bo do 2 tygodni obydwaj poumierali. Lekarze nie udowodnili choroby, obaj żyli w Krukienicach. To też Pan Bóg ukarał ich przy tej robocie. Później główny lekarz Piluk sprowadził majstrów ze Lwowa, ażeby zrobić remont szpitala, a klasztoru nie ruszali, tylko figurę Pana Jezusa dużą i piękną, która była na zewnątrz klasztoru chcieli stracić albo zamurować bo przeszkadzało to partyjcom. Figura Pana Jezusa klęczącego w Ogrojcu, to rzecz piękna. Powiedziałam tym majstrom o tych prawdziwych zdarzeniach, które miały miejsce tu, w tym szpitalu i prosiłam ich bardzo, by tej figury nie ruszali. Mówiła, że to rzecz piękna i kara Boża może i na nich spaść i oni tej figury nie ruszyli. Ta figura jest po dziś dzień. Gdy przechodzę obok tej figury Pana Jezusa klęczącego w Ogrojcu, to jest mi tak lekko, że mogłam ją obronić od zniszczenia.

Kościół w Pnikucie, jak umarł ks. Michał Świdnicki w 1956 r. był zamknięty. Klucze zabrał Dorosz Leon. On był „głową” komitetu i Moskałom nie oddał kluczy. Przychodził i ja mu pisałam prośby do Lwowa, Kijowa i do Moskwy bo nasz kościół był zarejestrowany w Moskwie. Wiele kłopotów miał Dorosz Leon, ale był stanowczy i kluczy Moskałom nie oddał. Po śmierci ks. Michała Świdnickiego przez 2 lata do pnikuckiej parafii dojeżdżał ks. Dziadek Stanisław, ale on tyle co wrócił z więzienia i bardzo się tych Moskali bał, bo oni go też za darmo zabrali do więzienia. Wrócił do Polski, a naszą parafię obsługiwał ks. Saletnik z Mościsk, tzn. dzieci chrzczył, śluby dawał, a do naszego kościoła nie pozwolili mu dojeżdżać. Leon Dorosz klucze miał od kościoła i nikogo się nie bał, pomimo, że mu wygrażali. Wszystkie kościoły w województwie lwowskim strasznie zniszczyli. W każdej wsi gdzie był kościół, to księży brali do więzienia, a kościoły brali na magazyny nawozów sztucznych. Nawozy te niszczyły mury kościelne. Tak się starali ci partyjni Moskale, ażeby te kościoły doszczętnie zniszczyć. Pomagali im miejscowi partyjni Ukraińcy, a nawet czasem ktoś z partyjnych Polaków. Tak wojował szatan po całym kraju. Tylko chrześcijanie gdzie mogli dostawali się do kościołów jeszcze nie zamkniętych i gorąco błagali Boga o przebaczenie i zmiłowanie nad nami. Szatan wojował, a Bóg karał ich za te uczynki; dawał znaki na każdym ich postępowaniu.

Stalin umarł, na „głowę” państwa rosyjskiego postawili Moskala Malinkowa. On długo nie rządził, tylko 5 miesięcy i obalili go, a na jego miejsce dali Chruszczowa. Chruszczow rządził 10 lat i tak się „dorządził”, że nie było mąki nawet na chleb, tylko chleb piekli z kukurydzy. Na miejsce Chruszczowa dali

Breżniewa i w krótkim czasie zmienili i dali Andropowa. On też długo nie był i wybrali na „głowę” państwa Czernienkę. Tak nimi przerzucali, aż wybrali Gorbaczowa. Gorbaczow widział, że świat się na nich patrzy jak na szatanów i zaczął się kontaktować z prezydentem Ameryki Reganem. Regan zaczął się z Gorbaczowem spotykać, dawał mu rady, jak ma wyjść z tej polityki szatana i on zaczął rządzić lepiej niż ci jego poprzednicy. Dorosz Leon zmarł w 19... r. i wybrali nowy komitet i klucze dali Frycyszen. Ona nic nie szkodziła, ale też nie chciała pomóc, aby do naszej parafii przyjeżdżał ksiądz odprawiać mszę św. Ksiądz Kazimierz kilka razy im mówił, żeby się starali, żeby pisali prośbę do Lwowa do urzędu do spraw religijnych oraz do Moskwy. A że oni nie wiedzieli jak to pisać, to im ksiądz sam napisał, że to od Parafii Pnikut, od parafian i mówił im, co mają mówić, dał im adres, gdzie mają jechać. Był to ksiądz mądry, wyczuł ich, że nie mają ochoty o księdza się wystarać. Pojechali do Moskwy, załatwili swoje sprawy, a o kościół niewiele się starali. Ksiądz Kazimierz był bardzo obrażony na nich, bo w wielu powiatach ludzie się wystarali. On pojechał do Moskwy i wstąpił do urzędu do spraw religijnych i zapytał w czym sedno sprawy, że kościół w Parafii Pnikut nie jest zamknięty, a nie pozwalają księdzu dojeżdżać by mszę św. odprawiać. Dowiedział się, że dali zezwolenie wielu kościołom i tym parafianom, którzy się domagali, którzy chcieli, a z parafii Pnikut przyjechali, powiedzieli, że ten od spraw religijnych powinien dać pozwolenie i poszli, i nikt już tam nie widział ich. Ksiądz gdy wrócił, to do nich więcej o tym nie wspominał, bo wiedział, że są niesprawiedliwi.

Ksiądz Kazimierz wybrał spośród ministrantów ministranta Legowicza i wysłał go do Rygi na studia kapłańskie. To kosztowało księdza wiele starań, żeby komuniści dali zezwolenie i wydali skierowanie Legowiczowi na studia kapłańskie do Rygi. Ksiądz Kazimierz do parafii Pnikut przyjeżdżał tylko na pogrzeby i do chorych, ażeby ich wyspowiadać i komunii św. udzielić, bo to po wszystkich parafiach miał dozwolone. Organistę, który grał na organach ks. Kazimierz też wysłał na studia kapłańskie. Organista pochodził ze Sambora, nazywał się Markiewicz. Ja swojego syna zaraz po ósmej klasie dałam do Sambora do szkoły na felczera tak, że nikt w Pnikucie nie wiedział gdzie on będzie wstępować. Syn wstąpił na 4 lata i dobrze zakończył, a ze szkoły poszedł do wojska. W wojsku służył 2 lata i pracował w wojsku jako felczer w „san części” (oddział sanitarny). Z wojska dał mu major opinię i skierowanie na

Lwowski Uniwersytet Medyczny, gdzie od razu go przyjęli i nikomu nie mówiliśmy, aż podjął studia.

Ksiądz Legowicz po ukończeniu studiów przyjechał do Mościsk na parafię i nie chciał, żeby ksiądz Kazimierz przyjeżdżał do Mościsk, więc pojechał do Rygi o probostwo dla siebie. Gdy przyjechał, pokazał ks. Kazimierzowi, że on jest tu proboszczem i żeby więcej nie przyjeżdżał do Mościsk. Ksiądz Kazimierz bardzo ubolewał, że tak Legowicz postąpił. Ksiądz Kazimierz pracował w Samborze i we Lwowie w Kościele św. Antoniego.

Pewnego dnia w radiu mówią, że Gorbaczow był na audiencji u Ojca Świętego Jana Pawła II. Pomyślałam, że na pewno Ojciec Święty wspominał, żeby ludzi żeby ludzi nie gnębić, żeby dać im wolność religijną, pozwolić wierzyć w Boga. Rzeczywiście, po 3 tygodniach od tej audycji radiowej mówią, że Gorbaczow pozwala otwierać kościoły. Ja zaraz poszłam do komitetu, do tych starszych i proszę ich, ażeby pojechali do Lwowa o pozwolenie, ażeby do nas ksiądz mógł przyjeżdżać. Hania mi powiedziała, że nic to nie pomoże, oni nie dadzą nam pozwolenia, to szkoda trudu. Więc ja wzięłam Dorosz Rozalię i Muszaka Kazimierza i pojechałam z nimi. Całą drogę modliłam się, a po przyjeździe do Lwowa najpierw poszliśmy do Katedry na mszę św. Po mszy poszliśmy do upoważnionego do spraw religijnych. On nas przyjął i w żaden sposób nie chciał nam pozwolić. Ja wtedy mówię: -„Proszę patrzeć, to są pieniądze na bilety do Moskwy. Jak pan nam nie da pozwolenia, to ja przywiozę z Moskwy, bo nasz kościół jest zarejestrowany w Moskwie. I tam będę zmuszona powiedzieć, że pan nie daje nam zezwolenia, że pana nie obchodzą żadne wskazówki Gorbaczowa.” Ten właśnie od spraw religijnych mówi mi, że potrzebne jest podanie. Powiedziałam, że zaraz mu napiszę podanie i napisałam je. On zapytał, o jakiego księdza w podaniu napisałam. Odpowiedziałam, że jakiego mi pozwolicie napisać. Kazał napisać księdza Legowicza, więc napisałam. On wziął podanie i podpisał. Uradowani wracamy do domu, a po drodze wstąpiłam do ks. Legowicza. Ksiądz był bardzo zaskoczony, nie mógł w to uwierzyć i prosił, żebym mu opowiedziała cały przebieg rozmowy z tym panem od spraw religijnych. Opowiedziałam dokładnie jak było. Po tygodniu czasu ks. Legowicz zawołał mnie do zakrystii i powiedział, że już dali mu pozwolenie przyjeżdżać do Pnikuta, by odprawiać mszę św. To była ogromna radość. Podziękowałam Bogu za łaskę i pomoc Bożą i mówiłam: „ – Boże, to uczyniłeś cud. Przez tyle lat

przebłagaliśmy Cię i znów wracasz do naszego kościółka i będziemy mieli mszę św. odprawianą.” Kościół oczyściliśmy cały i 4 października 1988 roku było otwarcie kościoła. Przyjechał z Katedry ze Lwowa ksiądz Ludwik i z Mościsk ksiądz Legowicz i odprawili po latach pierwszą mszę świętą. Ludzie – parafianie gorąco się modlili i dziękowali Bogu, że już doczekaliśmy się , że w naszym kościele będzie odprawiana Msza św. Ksiądz Legowicz wiedział, że ja uczę dzieci do 1-ej spowiedzi i Komunii św. i kazał mi przyjechać z tymi dziećmi do kościoła do Mościsk. Zebrałam dzieci i autobusem przyjechaliśmy na przepytanie. Była tam zakonnica siostra Wanda i przepytowała, i była bardzo zadowolona, że dzieci są dobrze wyuczone i pochwaliła mnie, i powiedziała: „- Jedna siostra w Karchucie, a druga w Pnikucie.” Mój mąż był bardzo zadowolony, że Bóg dał, że doczekaliśmy się, że w naszym kościele odprawia się msza święta. Powiedział, że wszystkie swoje oszczędności da na potrzeby kościoła, bo taki był przejęty i zadowolony, że kościół znów wrócił do normalnego życia. Jak powiedział, tak uczynił.

Ksiądz Arcybiskup Ablewicz dowiedział się, że w naszej parafii kościół jest czynny, że ksiądz odprawia mszę św. i przekazał przez ludzi z Przemyśla, żeby mi dali znać, ażebym przyjechała do Tarnowa do Arcybiskupa na rozmowę. Gdy mi przekazali tę wiadomość, to jak najszybciej postarałam się pojechać. Byłam na rozmowie z Księdzem Arcybiskupem więcej niż godzinę. Pojechałam z zastępcą Arcybiskupa Ablewicza do wioski, gdzie była zabita Karolina Kózka i byłam w tym kościele, gdzie spoczywały zwłoki Karoliny. Potem Arcybiskup Ablewicz przedstawił mi 40 kleryków, których uczył na księży i mieli za tydzień być wyświęceni na księży. Powiedział mi: „- Gdyby było wolno, to bym wszystkich dał do was za granicę. Wszystko u Boga jest możliwe, tylko my musimy Boga prosić, a Bóg nas wysłucha. Jeszcze musisz Gieniu, pojechać do Trzcieńca i porozmawiać z ludźmi tej wioski, i powiedzieć im, co mają robić, żeby im dali zezwolenie na otwarcie kościoła. Wiem, że to zrobisz, bo posłuchałaś mnie i uczysz dzieci więcej jak 40 lat.” Przynależałam, że to zrobię. Gdy tylko wróciłam, zaraz pojechałam do Mościsk i spotkałam trzcienieckich ludzi i wszystko opowiedziałam, jak Ksiądz Arcybiskup kazał robić, żeby otworzyli im kościół. Powiedziałam im, jak ja jeździłam do Lwowa, dałam im adres i oni jeździli trzy razy i też pozwolili im otworzyć kościół. Kościół w Trzcieńcu był bardzo zniszczony, bo bardzo dużo soli było do niego zwiezione. Komuniści tak nad tym pracowali, żeby kościoły doszczętnie zniszczyć. Ale dobry Bóg dał ludziom siłę

i kiedy mieli pozwolenie na otwarcie kościoła, to dzień i noc pracowali, tonami sól wywozili i oczyścili z tej zarazy kościoł. W Trzcieńcu też było otwarcie kościoła. Ksiądz Legowicz dojeżdżał odprawiać msze święte. W naszym kościele w Pnikucie też ks. Legowicz odprawiał w wyznaczone dni. Zaraz na początku zaszły nieporozumienia. Ksiądz Legowicz chciał odebrać kasę kościelną, a ci, którzy trzymali tę kasę nie chcieli oddać. Parafianie temu nic nie byli winni, bo tak jak mówi przypowieść (przysłowie), że gdy cała beczka miodu, a zmieszać 3 łyżki dziegciu, to cała beczka miodu zepsuta będzie. – tak i w naszej parafii te 2 kobiety tak księdza Legowicza obraziły, że się pogniewał i nie chciał już do nas przyjeżdżać. Musieli parafianie jeździć i go przepraszać. Ksiądz Legowicz przyjechał, kasę odebrał i dał jednej parafiance, która nie chciała dopuścić żadnych księży do naszego kościoła, tych których w Polsce biskupi kierowali, aby w naszych parafiach odprawiali, bo tu w ogóle księży nie było. Kościoły pootwierali, a księży nie było. Ta parafianka, której ks. Legowicz dał klucze trzymać do kasy, każdemu księdzu, który był skierowany do naszej parafii powiedziała, że my mamy swojego księdza Legowicza i nie potrzebujemy księży z za granicy. Parafianie się o tym dowiedzieli i byli bardzo oburzeni. Dowiedzieli się też, że z Przemyśla biskup skierował do naszej parafii dwóch księży Janów i ta kobieta też ich z naszej parafii odprawiła. Parafianie pojechali za tymi księżmi. Jeden ksiądz Jan był już w Trzcieńcu proboszczem, a drugi w Myślatyczach. Nasi parafianie zaczęli prosić księdza Jana Burasa, ażeby naszą parafię obsługiwał i żeby był naszym proboszczem. Ksiądz Jan się zgodził i odprawiał u nas, na Jordanówce, w Złotkowicach i Myślatyczach.

Na tym kończą się wspomnienia pani Genowefy Furman, zapisane jej odręcznym pismem w jakimś starym zeszycie, na pożółkłych już kartkach w kratkę. Mając pozwolenie od najbliższej rodziny pani Gieni, zadałam sobie trud przepisania całości jej rękopisu, by łatwiej się go czytało, bo fragmentami sama miałam trudności z odczytaniem jej odręcznego pisma. Starłam się przepisywać treść rękopisu wiernie, by zachować sposób mówienia pani Gieni,

wyrażania myśli, niemniej pisałam już bardziej gramatycznie i bez błędów ortograficznych, i czasem jakiś wyraz dopisałam w poprawnym brzmieniu, choć rozumiem, że jak na tamte czasy, to pani Gienia z pisaniem po polsku i tak świetnie sobie radziła. Notatki jej są obszernym materiałem realioznawczym z lat wojny i powojennych lat Pnikuta i jego społeczności.

Maria Rączka